



# PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

LUTY 1998

ISSN 1429-4494

Nr 2 (41)/97 ROK VI



Fot. T. Chmielowiec

Z ducha demokracji Października '56 zrodził się studencki Parlament Politechniki Gdańskiej, będący unikatową w tej części Europy formą samorządności studenckiej. Polska stała się jedynym państwem mającym dwa Parlamenty, dwóch premierów, dwa rządy - najzupełniej legalne. Jedne władze obradowały w Gdańsku, drugie w Warszawie.

## 40 LAT PARLAMENTARYZMU



Goście honorowi uroczystej sesji Uczelnianego Parlamentu:  
JM Rektor prof. Aleksander Kołodziejczyk, prorektor ds. kształcenia prof. Alicja Konczakowska,  
prorektor ds. rozwoju Włodzimierz Przybylski, przewodniczący Rady Miasta Gdańska  
Paweł Adamowicz, senator RP prof. Edmund Wittbrodt, prorektor ds. nauki prof. Jan Godlewski



Galeria marszałków Uczelnianego Parlamentu: dr inż. Bogumiła Makuch, dr inż. Jacek Jettmer,  
mgr inż. Krzysztof Kotarski, prof. Leon Murawski, dr inż. Tadeusz Matuszek

foto: F. Chmielowiec



"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska  
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej  
Zespołu Redakcyjnego.

Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.

Wszelkie prawa zastrzeżone

**Adres redakcji:**

Politechnika Gdańska  
Dział Organizacyjno-Prawny  
Zespół ds. Informacji i Promocji  
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk  
tel. 347 17 09, fax 341 58 21

**Zespół Redakcyjny:**

Waldemar Affelt (sekretarz),  
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas, Jadwiga Lipińska,  
Adam Synowiecki, Joanna Szłapczyńska

**Opracowanie techniczne i typograficzne:**

Skład komputerowy w programie Ventura Publisher  
Janina Poćwiardowska  
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

**Stała współpraca:**

Kronika Studencka

**Korekta:**

Joanna Szłapczyńska

**Druk:**

Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 2 lutego 1998 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca  
materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany,  
skracania i adiacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów  
i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub  
Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać  
w księgarni w Gmachu Głównym

## Spis treści

Wystąpienie pani poseł Ewy Sikorskiej-Treli na 4. posiedzeniu sejmku w dniu 3 grudnia 1997 r. ....	4
Wystąpienie pani poseł Ewy Sikorskiej-Treli na 8. posiedzeniu sejmku w dniu 8 stycznia 1998 r. ....	5
Odpowiedzi pana przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych Andrzeja Wiszniewskiego .....	5
Nowoczesny system sterowania procesami technologicznymi w darze od firmy Philips Industrial Electronics Deutschland dla Wydziału Elektrotechniki i Automatyki PG <i>Ludwik Referowski, Ryszard Roskosz, Jerzy Sawicki, Dariusz Świsulski</i> .....	7
Profesor mgr inż. Antoni Kozłowski - Kierownik Katedry Kotłów Parowych i Maszynoznawstwa PG <i>Tomasz Pankiewicz</i> .....	9
Moje exposé na 40-lecie parlamentaryzmu na Politechnice Gdańskiej <i>Roman Niewęglowski</i> .....	11
40 lat Parlamentu <i>Jacek Jettmar</i> .....	12
Uczni w anegdocie <i>Ryszard Jacek Piekara</i> .....	15
Boże Narodzenie w Klubie Seniora <i>Jadwiga Lipińska</i> .....	16
Przyczyny niepowodzeń studentów I roku w nauce na Wydziale Chemicznym PG <i>Renata Kuczyńska</i> .....	17
AIESEC DAY, czyli niezapomniana noc <i>Jarosław Buliński</i> .....	19
Kanapka z mieloną <i>Jarosław Buliński</i> .....	20
Twórczość <i>Łukasz Konopka</i> .....	21
WALENTYNKI - skąd wzięła się ta tradycja? <i>Stefan Zabieglik</i> .....	22
Humanistyczne zainteresowania studentów Politechniki Gdańskiej <i>Stefan Zabieglik</i> .....	22
Czy miłość jest sztuką? <i>Robert Kwasięgroch</i> .....	23
Spojrzenie wstecz na... gdańską szkołę architektury (cz.2) <i>Krystyna Pokrzywnicka</i> .....	25
Obrazki z zawodowego życia absolwenta PG (cd.) <i>Krzysztof Targowski</i> .....	27
Kresy cd. <i>Wacław Dziewulski</i> .....	30
Smutno o Dolinie Radości - AKT II <i>Marcin S. Wilga</i> .....	32

Szkolnictwo wyższe nie cieszyło się faktycznym poparciem kolejnych rządów III RP. Zwykle deklarowano zrozumienie dla potrzeb i aspiracji środowiska akademickiego, lecz nie podejmowano politycznych decyzji umożliwiających systemowy rozwój tej części życia społecznego. O tym, jak ważna jest edukacja młodego pokolenia, wiemy wszyscy. Wiemy też, jakim wysiłkiem zwiększamy liczbę studentów przy stale zmniejszających się nakładach. Liczyliśmy więc na zmianę polityki nowego parlamentu i rządu, co w programach przedwyborczych zawarły zwycięskie ugrupowania.

Jedynym posłem nowej kadencji, wywodzącym się ze środowiska uczelni Trójmiasta, jest pani mgr Ewa Sikorska-Trela, przewodnicząca KZ NSZZ "S" na Uniwersytecie Gdańskim, która na przedwyborczych spotkaniach deklarowała stałą dbałość o sprawy naszego środowiska. O tym jak poseł wywiązuje się ze swych przedwyborczych obietnic, świadczą jego wypowiedzi na forum Sejmu. Przekazuję więc pełny tekst Jej wystąpienia, który otrzymałem od samej zainteresowanej, w formie stenogramów z posiedzeń Sejmu, z których fragmenty prezentuję poniżej. Każdy więc może przekonać się o dotrzymaniu zobowiązań przedwyborczych oraz zapamiętać panią Ewę Sikorską-Trelę jako właściwego adresata naszych spraw i problemów.

Ponadto, by przybliżyć filozofię obecnej ekipy rządowej, przedstawiam pełną odpowiedź ministra Andrzeja Wiszniewskiego - szefa KBN - na zapytanie poselskie pani E. Sikorskiej-Treli.

*Tadeusz Szymański*  
Wiceprzewodniczący KZ NSZZ "S" w PG

#### **Wystąpienie pani poseł Ewy Sikorskiej-Treli na 4. posiedzeniu sejmu w dniu 3 grudnia 1997 r.**

**P**anie Marszałku! Panie Premierze! Szanowni Państwo! Pan prof. Leszek Balcerowicz, premier i minister finansów, w swojej prezentacji budżetu na rok 1998 powiedział, że moc państwa zależy od mocy gospodarki. Zgadzam się z tym, ale chciałabym jeszcze dodać prawdę znaną i oczywistą, że siła państwa i narodu zależy również od stanu edukacji narodu i środków przeznaczonych w budżecie państwa na edukację i naukę. Należy pamiętać, że różnorodne reformy w Polsce od 1989 r. dokonywały się w dużej mierze kosztem eksploatacji potencjału intelektualnego naszego kraju. Do podtrzymania sukcesów gospodarki polskiej niezbędna jest odnowa tego potencjału intelektualnego, gdy tymczasem w projekcie budżetu na 1998 r. nie zwiększa się nakładów ani na edukację wyższą, ani na naukę. Finansowanie tych najważniejszych dla każdego narodu dziedzin życia na poziomie wzrostu o 11,7 % w szkolnictwie wyższym i o 9,9 % w nauce w porównaniu z rokiem 1997, czyli na poziomie inflacji planowanej na 1998 r., jest nie do zaakceptowania dla środowisk akademickich i naukowych, gdyż tak niskie nakłady utrwalają kryzysową sytuację finansową w sferze edukacji wyższej i nauki, z jaką mamy obecnie do czynienia. Finansowania nauki na poziomie 0,47% produktu krajowego brutto, a szkolnictwa wyższego na poziomie 0,86% PKB nie można w żaden sposób pogodzić z polską racją stanu i aspiracjami naszego narodu. Za niezbędne minimum środków przeznaczanych na edukację i naukę należy przyjąć taki ich poziom, który zahamuje postępującą od wielu lat dekapitalizację majątku szkół wyższych i placówek naukowych oraz zapewni odtwarzanie kadr o odpowiednich kwalifikacjach. Obecnie bowiem kadra naukowa na uczelniach i w instytutach naukowych starzeje się. Przypomnę, że średni wiek profesorów uczelni wynosi 63 lata, a nowi absolwenci nie chcą podejmować pracy na uczelniach i w instytutach naukowych ze względu na bardzo niskie zarobki w szkołach wyższych i placówkach PAN.

Wszystkie badania wykazują, że największy postęp cywilizacyjny i wzrost dochodu narodowego na jednego mieszkańca osiągnęły te państwa, które przeznaczyły, i to skokowo, znacznie większe środki, niż miały dotychczas, na edukację wyższą i naukę - na przykład Hiszpania, Japonia i tzw. kraje-tygrysy azjatyckie. Były to decyzje polityczne rządów i parlamentów tamtych krajów. Na takie decyzje polityczne czekamy w polskim parlamencie.

Mamy więc przed sobą, panie premierze, dość jasny wybór: albo zaniedbamy, jak w ciągu ostatnich lat, szkolnictwo wyższe i naukę, godząc się na przyszłą rolę Polski jako kraju o drugorzędym marginesowym znaczeniu, albo też, chcąc zapewnić Polsce rolę kraju liczącego się w Europie i na świecie, musimy skokowo, dwu lub trzykrotnie zwiększyć wydatki na szkolnictwo wyższe i badania naukowe.

Przypomnę Wysokiej Izbie - szkoda, że tak niewielu jest parlamentarzystów poprzedniej kadencji - iż 13 października 1995 r. Sejm RP podjął rezolucję o konieczności przeznaczenia z budżetu państwa nakładów na naukę w wysokości 1% produktu krajowego brutto, a na szkolnictwo wyższe w wysokości 2% produktu krajowego brutto. Ta rezolucja do dzisiaj pozostała pustą deklaracją, deklaracją na papierze, bez żadnych konkretnych działań. Szkoda, że poprzedni koalicyjny rząd PSL-SLD nie zrealizował rezolucji podjętej przez własnych posłów. Po upływie dwóch lat jest ona nadal aktualna i czeka na realizację.

Są wielkie oczekiwania, panie premierze, szanowni państwo, płynące ze środowisk akademickich i naukowych, że nowy Sejm i nowy rząd - mój rząd - odwróci ten niebezpieczny trend i elity rządzące zaczną dostrzegać ogromne problemy finansowe; z jakimi borykają się szkoły wyższe i placówki naukowe w Polsce. Oczekujemy od naszego rządu i nowego parlamentu dokonania w budżecie państwa przesunięcia znacznie większych środków na cele nauki i szkolnictwa wyższego. Nie chciałabym, by ktokolwiek i kiedykolwiek mógł tak powiedzieć o polskim rządzie - tym bardziej o moim rządzie - jak zrobił to jeden z najsłynniejszych fizyków świata, laureat Nagrody Nobla prof. Charpak, o czym doniosła "Gazeta Wyborcza" 17 października

1997 r.: *"Kiedy zwiedzałem laboratoria na Uniwersytecie Warszawskim, pewna rzecz bardzo mnie uderzyła. Dowiedziałem się, że Polacy przeznaczają 0,5% swojego dochodu narodowego na badania naukowe. I pomyślałem sobie, że musicie być chyba niespełna rozumu. My wydajemy - przypomnę, że prof. Georges Charpak jest Francuzem - 2,5% i twierdzimy, że jest to skandal, Niemcy - 3,5%. Wiemy, że jesteście dużo biedniejsi od Francji czy Niemiec, ale przecież Japończycy, którzy wyszli z wojny zupełnie zrujnowani, wydawali na naukę 3,5% dochodu narodowego. Wasze 0,5% to dywersja przeciwko Polsce i przeciw jej talentom. To zbrodnia"*.

Ciężkie to oskarżenia, szanowni państwo, ale prawdziwe. Przykro mi, że muszę to przypomnieć nowemu - swojemu - rządowi. Robię to w poczuciu ogromnej odpowiedzialności za pozycję Polski i Polaków w zjednoczonej Europie, do której niebawem przystąpimy. Otrzymuję liczne teksty uchwał, rezolucji, listy otwarte i stanowiska środowisk szkół wyższych i Polskiej Akademii Nauk z wezwaniem do posłów i senatorów nowej kadencji o zapewnienie w ustawie budżetowej na 1998 r. niezbędnych środków na szkolnictwo wyższe i naukę. Myślę, że jest to wezwanie skierowane do nas wszystkich - parlamentarzystów Sejmu III kadencji

Panie Premierze! Panie i Panowie Posłowie! Proszę, byśmy razem zrobili wszystko, by poprawić sytuację finansową polskich wyższych uczelni i placówek naukowych. Dziękuję bardzo.

## **Wystąpienie pani poseł Ewy Sikorskiej-Treli na 8. posiedzeniu sejmu w dniu 8 stycznia 1998 r.**

Panie Marszałku! Panie i Panowie Posłowie! Panie Ministrze! Gdy pieniędzy jest mało i w budżecie państwa jest ich coraz mniej na naukę, to wyjątkowo starannie i sprawiedliwie należy je dzielić. Tymczasem od lat utrzymała się w Komitecie Badań Naukowych zła praktyka nierównomiernego i nieproporcjonalnego rozdziału środków finansowych pomiędzy różne ośrodki akademickie i naukowe w kraju. Wielkość przydzielonych środków nie jest proporcjonalna ani do liczebności najbardziej wykwalifikowanej kadry naukowej, czyli na przykład liczby profesorów w danym ośrodku akademickim i naukowym, ani też nie jest proporcjonalna do wielkości i kategorii naukowej tych ośrodków. Kontynuowanie przez KBN takiej praktyki budzi coraz większe sprzeciwy licznych środowisk akademickich i naukowych. Żywię nadzieję, panie ministrze, że pan jako nowy przewodniczący KBN zechce przyjrzeć się tym nieprawidłowościom i wpłynie na ich wyeliminowanie.

Wdzięczna będę za informację, panie ministrze, skąd biorą się tak znaczne różnice w rozdziale środków będących do dyspozycji KBN pomiędzy różne ośrodki w kraju, a porównywalne pod względem potencjału naukowego.

## **Odpowiedzi pana przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych Andrzeja Wiszniewskiego**

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Zaczę od podziękowania pani poseł za zwrócenie mojej uwagi na sprawę, która wymusza się uwadze Komitetu Badań Naukowych. Przechodzę do odpowiedzi. Tak, istotnie, istnieje znaczna nierównomierność w finansowaniu badań naukowych, nawet jeśli środki przeznaczane w poszczególnych regionach przeliczać na jednego pracownika sfery nauki. Dla zbadania tej sprawy Komitet Badań

Naukowych podzielił kraj na 10 wielkich regionów, tak aby w każdym mieścił się jeden duży ośrodek akademicki i naukowy. Jeśli przyjąć finansowanie na jednego profesora w regionie stołecznym na poziomie 100%, to w niektórych innych regionach finansowanie wynosi: w regionie północno-wschodnim, gdzie jest najniższe - 30 %, czyli poniżej 1/3; w regionie południowym, który tworzą woj. krakowskie, kieleckie, przemyskie, rzeszowskie, tarnowskie, nowosądeckie - 52 %; w regionie północnym, o który pewnie pani poseł głównie pyta, bo to jest region gdański - 47 %. Zatem rzeczywiście nierównomierność jest znaczna. Patrząc na nią, sformułowałem taką żartobliwą tezę, że wysokość finansowania przypadającego na jednego pracownika jest odwrotnie proporcjonalna do odległości drogowej między stolicą danego regionu a skrzyżowaniem ulicy Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi.

Ale muszę zacząć bronić tej nierównomierności. Przede wszystkim, skąd ona wynika? To nie znaczy, że każdy z naszych kolegów z uczelni warszawskich bierze znacznie więcej dofinansowania niż koledzy z uczelni gdańskich, wrocławskich czy krakowskich. To też nie oznacza, że pracownicy jednostek PAN czy jednostek badawczo-rozwojowych biorą znacznie więcej w porównaniu ze swoimi kolegami. Ta różnica finansowania wynika stąd, że w przeliczeniu na jednego naukowca znacznie wyższe dotacje są w jednostkach badawczo-rozwojowych Polskiej Akademii Nauk w stosunku do jednostek uczelnianych. A Warszawa jest jednym wielkim zagłębieniem takich właśnie instytucji pozauczelnianych i to one wyśrubowują tę średnią.

Dla przykładu: w warszawskich instytucjach PAN pracuje 67 % wszystkich profesorów zatrudnionych w jednostkach PAN w całej Polsce i 61 % wszystkich profesorów zatrudnionych w jednostkach badawczo-rozwojowych. Ponadto ta nierównomierność ma też pewne uzasadnienie. Komitet Badań Naukowych promuje przede wszystkim jakość, która wyrażana jest mniej lub bardziej właściwą kategoryzacją, a ta kategoryzacja w regionie stołecznym wskazuje, że większość ludzi pracuje w jednostkach kategorii A, tej kategorii najwyższej. Do rewizji tej kategoryzacji Komitet Badań Naukowych przystąpił dlatego, że kategoryzacja ta nie przekłada się bezpośrednio na, powiedziałbym, produktywność naukową. Produktywność strasznie trudno zmierzyć, nic ma jakiegoś jednoznacznego miernika. Ja przyjąłem miernik bardzo niedoskonały, a mianowicie przypadającą na każdego pracownika liczbę publikacji zamieszczonych w periodykach o zasięgu międzynarodowym. Powtarzam: to jest bardzo niedokładna i nie do końca właściwa miara - ale jakaś jest, i to względnie ścisła. Z tej kalkulacji wynika, że region stołeczny jest dopiero na 5 miejscu. Innymi słowy, jedna publikacja w Krakowie, Wrocławiu czy Gdańsku kosztuje podatnika mniej więcej dwa razy mniej niż w Warszawie.

Komitet Badań Naukowych będzie dążyć do zmniejszenia tej nierównomierności. Ale to wcale nie oznacza polityki urawniłowki. Nauka, podobnie zresztą jak sport, nie znosi urawniłowki, nie znosi całkowitej demokracji. To są dziedziny niedemokratyczne, to są dziedziny, gdzie przede wszystkim premiuje się najwyższe osiągnięcia. Jeśli chodzi o sport, to może w tym momencie, po tak męczącym dniu, pozwolą mi państwo na anegdotę, na zacytowanie Jacksona Browna, który powiedział kiedyś w swoich znakomitych "Maksymach", że koń, który biegnie o 1/10 sekundy szybciej od pozostałych koni, jest wart o milion dolarów więcej. Oczywiście naukowcy to nie konie, ale podobna niedemokratyczna zasada obowiązuje także w świecie nauki. Nauka musi premiować przede wszystkim wybitne osiągnięcia. Żeby jednak móc mówić o wybitnych

osiągnięciach, które chce promować Komitet Badań Naukowych, trzeba wypracować jakiś wspólny mianownik porównania. A w tym wspólnym mianowniku porównania musi się mieścić równość szans, dlatego, nie dążąc do całkowitej równości, Komitet Badań Naukowych będzie dążył do równości szans, do zapewnienia naukowcom tych samych szans bez względu na to, czy mieszkają w Warszawie, czy w Gdańsku, czy w Zamościu, czy w Jeleniej Górze, czy gdziekolwiek indziej. Oni szanse muszą mieć równe, co nie znaczy, że muszą otrzymywać takie same środki. Jeśli bowiem będą mieli zapewnione równe szanse, to będzie to zależało od jakości ich pracy naukowej. I to będzie fundament polityki naukowej Komitetu Badań Naukowych.

Nie chcemy, aby powstawała naukowa Polska B. Chcemy, żeby wszyscy Polacy mieli równe szanse także w nauce. I dzięki temu, właśnie dzięki tym równym szansom, będziemy mogli promować najwybitniejsze osiągnięcia w kraju, prace, które wcale nie muszą powstawać w Warszawie, które mogą powstawać w bardzo małych miejscowościach na terenie Polski.

Jeszcze raz bardzo dziękuję pani poseł. To niezwykle trudna sprawa i Komitet z wielką troską będzie się w swojej bieżącej pracy przyglądał tym właśnie liczbom. Dziękuję bardzo.

...

Zacznę od pierwszego pytania, na które zacząłem odpowiadać.

Wysokość nakładów na naukę planowanych na rok 1998 to 0,472 % produktu krajowego brutto. Przez chwilę osiągnęliśmy poziom 0,477. Niestety, po wczorajszej debacie rządowej znowu spadliśmy do poziomu 0,472, ze względu na cięcia, bardzo dla mnie bolesne.

Całkowicie się zgadzam z panią poseł Łybacką, że kluczem do rozwoju nauki jest edukacja. Jeśli nie wyrównamy szans edukacyjnych, to żadne wyrównywanie szans w nauce nie pomoże. Jeśli w woj. wałbrzyskim, podaję przykład z terenu, który znam - tylko 4 % ludzi ma wyższe wykształcenie, to to mówi samo za siebie. W Polsce średnia wynosi 7%, a w województwie, powiedzmy, stołecznym, pewnie kilkanaście procent. Dlatego całkowicie się zgadzam, że kluczem jest równość edukacyjna. Dlatego tak boleję, że na wielki program szkół zawodowych, który może przybliżyć edukację ludziom, których nie stać na wysłanie dziecka do ośrodka uniwersyteckiego, przeznaczono stosunkowo mało pieniędzy. Jest to być może dla edukacji i - chociaż to dziedzina mojego kolegi, ministra edukacji narodowej - myślę także o pani pytaniu, bardziej dramatyczna decyzja, niż obcięcie kwot na naukę.

Wspólny mianownik - pyta pan poseł. Oczywiście publikacje nie mogą stanowić wspólnego mianownika dla wszystkich instytucji. Dla tych, które zajmują się nauką podstawową, będą to publikacje, dla tych, które zajmują się przede wszystkim nauką stosowaną, będą to licencje, wdrożenia, sprzedane patenty, zamawiane granty, granty celowe. To będzie realizowane wspólnie z przemysłem. Nie chcemy stworzyć żadnej uniwersalnej metody porównania, bo jej się po prostu nie da stworzyć. Różnica między jednostkami naukowymi jest gigantyczna i przy kategoryzacji, nad którą pracuje Komitet Badań Naukowych, będziemy właśnie rozróżniać kryteria oceny.

Było pytanie - jeśli dobrze zanotowałem - dotyczące wysokości nakładów i preferencji. Wysokość nakładów... przede wszystkim bardzo trudno powiedzieć o preferencjach. Zgadzam się, że tutaj przede wszystkim mówimy o działalności statutowej. Jeśli idzie o granty, to są konkursy grantów, znacznie bardziej przypomina to konkurs z prawdziwego zdarzenia, na-

tomiaś jeśli idzie o działalność statutową, to w dużej mierze ma ona na celu utrzymanie przy życiu niektórych jednostek. Nie jest to tylko kwestia zapewnienia rozwoju naukowego, gdyż przez wiele lat chodziło o niedopuszczenie do tego, żeby te jednostki zbankrutowały. Chciałbym, aby finansowanie działalności statutowej było promowaniem jakości. Gdybyśmy skokowo zmienili wysokość finansowania działalności statutowej, to by oznaczało bankructwo niektórych instytucji już w roku 1998. Tak więc żadnych skokowych zmian nie chcę wprowadzać, tym bardziej że nauka nie znosi rewolucji, nie znosi skokowych zmian, zawsze źle na to reaguje. Chcę natomiast dążyć do tego, aby podział środków na działalność statutową uwzględniał promowanie autentycznej nauki, promowanie tej nauki, która daje wymierne wyniki wdrożeniowe oraz tej, która na arenie międzynarodowej osiąga sukcesy. Takie będą główne dążenia Komitetu.

Pan poseł pyta, czy są skargi. Oczywiście są. Powiem żartobliwie: ci, którzy nie otrzymali grantu - bez względu na to, czy odmówiono im słusznie, czy niesłusznie, zawsze będą się skarżyć. Ci wszyscy, którzy otrzymali na działalność statutową znacznie mniej, niż oczekiwali, zawsze będą się skarżyć. Natomiast ci, którzy otrzymali więcej niż oczekiwali, zawsze będą siedzieć cicho. To jest normalny mechanizm psychologiczny u człowieka - oni nie będą chcieli pokazać, że dostali więcej, bo będą się bali, że w następnym roku dostaną mniej.

Naturalnie są skargi. Staramy się, aby były one maksymalnie uczciwie i sprawiedliwie rozpatrywane. Idealnej sprawiedliwości nie ma. Stara hebrajska maksyma powiada, że Abraham zwrócił się kiedyś do Jahwe i powiedział: Jahwe, jeśli chcesz, żeby ten świat istniał, to nie możesz obstawać przy absolutnej sprawiedliwości. Abraham bowiem rozumiał, że coś takiego jak absolutna sprawiedliwość nie jest do pogodzenia ze skazą natury ludzkiej. Ale będziemy bardzo się starać, żeby zasada sprawiedliwości w Komitecie Badań Naukowych była przestrzegana, jak to tylko możliwe. Idealnej sprawiedliwości nie będzie - przykro mi: nie będzie - i zawsze będą skargi. Natomiast szczególnie starannie będziemy analizować skargi płynące z ośrodków odległych od stolicy. Będziemy starali się im przyglądać właśnie pod kątem wyrównywania szans.

Jeśli mowa o wyrównywaniu szans, to jedną z takich ścieżek są granty promotorskie, gdyż umożliwiają młodym ludziom zdobycie stopnia naukowego. Granty promotorskie cieszą się szczególnymi względami w Komitecie Badań Naukowych. Uważam, że to bardzo dobrze. Bardzo nam potrzeba młodych zdolnych ludzi, którzy robią doktoraty - oby nie rezygnowali z pracy w obszarze nauki.

...

Jeśli idzie o nakłady w roku 1997, były one na poziomie 0,502 % produktu krajowego brutto. Propozycja budżetu złożona przez pana wicepremiera Belkę przyjmowała 0,472 % produktu krajowego brutto. Niestety, chociaż przez chwilę ta wielkość wzrosła, to teraz znowu spadliśmy do poziomu 0,472 % produktu krajowego brutto, a więc jest to mniej niż w roku minionym. Nigdy jeszcze nakłady na naukę nie spadły poniżej 0,5 % produktu krajowego brutto. Chciałbym Wysokiej Izbie przypomnieć, że w uchwale Sejmu sprzed 2 lat - ponad 2 lat - znajduje się zalecenie, aby nakłady na naukę już w roku 1997 wyniosły 1% produktu krajowego brutto. Gdyby udało się osiągnąć ten 1% w roku 1999, byłbym niezwykle szczęśliwy, bo uważam, że nauka polska tego potrzebuje.

...

# Nowoczesny system sterowania procesami technologicznymi

w darze od firmy Philips Industrial Electronics Deutschland dla Wydziału Elektrotechniki i Automatyki i PG



Uroczystość przekazania daru. Od lewej: mgr inż. S. Wroński, mgr inż. Ch. V. Sujana i prof. R. Roskosz

**W** dniu 30 października 1997 roku Wydział Elektrotechniki i Automatyki Politechniki Gdańskiej gościł przedstawicieli firmy Philips Industrial Electronics z Kassel (RFN) w osobach dyrektora Ch. V. Sujana, kierownika działu handlowego Stefana Trmera oraz prezesa Biura Konsultingowego INFOCONSULT z Lublina Stanisława Wrońskiego.

A wszystko zaczęło się od zjazdu absolwentów Wydziału Elektrycznego Politechniki Gdańskiej w 1996 r., zorganizowanego w 30. rocznicę uzyskania dyplomów. Hasło zjazdu brzmiało "30 LAT PÓŹNIEJ". W roku 1960, kiedy uczestnicy zjazdu rozpoczynali studia w Gdańsku, liczba uczelni technicznych w kraju była stosunkowo nieduża. Dlatego też na Wydziale Elektrycznym PG studiowało wielu studentów z tak odległych regionów, jak białostockie, lubelskie czy rzeszowskie. Wśród studentów tego rocznika byli również Ryszard Roskosz i Stanisław Wroński z Lublina oraz Paweł Zimny z Chelmina. Po otrzymaniu dyplomu w roku 1965, dwóch z nich (P. Zimny i R. Roskosz) rozpoczęło pracę na Politechnice Gdańskiej, trzeci (S. Wroński) wrócił do Lublina. W ciągu minionych trzydziestu lat pracował on na odpowiedzialnych stanowiskach w kilku przedsiębiorstwach lubelskich, aż w końcu stworzył w Lublinie Biuro Konsultingowe INFOCONSULT, któremu prezesuje i jednocześnie jest przedstawicielem na Polskę znanej firmy Philips Industrial Electronics Deutschland w Kassel.

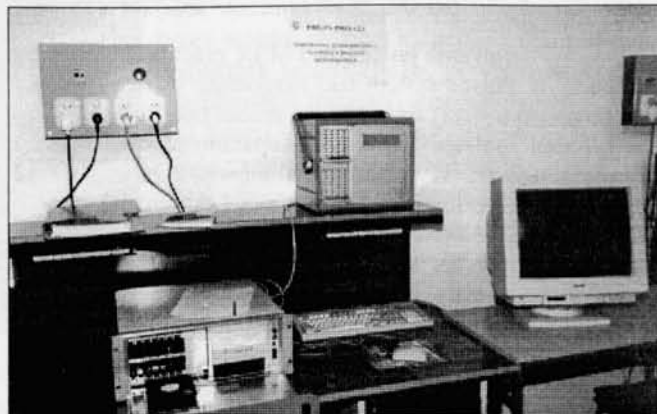
W czasie koleżeńskich pogwarek trójki przyjaciół, Stasio Wroński pochwalił się swoimi osiągnięciami w ramach współpracy z firmą Philips, w szczególności we wdrażaniu komputerowego systemu sterowania i kontroli sieci ciepłowniczej na terenie Lublina. Wspomniano również dobre lata studiów, anegdota o Profesorach i oczywiście Wydział Elektryczny PG. Gdy koledzy przeszli od wspomnień do rzeczywistości, zaczęto omawiać trudną sytuację ekonomiczną Wydziału; padła wówczas propozycja, by poprosić potężną firmę Philips o wsparcie procesu dydaktycznego w ich wspólnej Alma Mater. I tak oto zrodził się pomysł zasilenia Wydziału Elektrycznego w wyspecjalizowane stanowisko komputerowe pracujące w środowisku UNIX, umożliwiające symulację różnych procesów pomiarowo-kontrolnych.

Ale od pomysłu do jego realizacji upłynęło trochę czasu. Paweł Zimny, prof. nadzw. PG, przewodniczący wydziałowej komisji ds. informatyki, wystosował do prezesa BK INFOCONSULT w Lublinie oraz jednocześnie do dyrektora general-

nego firmy Philips Industrial Electronics Deutschland w Kassel odpowiedni memoriał z propozycją współpracy naukowo-technicznej. Po negocjacjach, w których brał udział również dziekan Wydziału prof. Przemysław Pazdro, wytypowano rodzaj sprzętu, który miał zostać przekazany nieodpłatnie Politechnice Gdańskiej, a ściślej mówiąc - Katedrze Miernictwa Elektrycznego na Wydziale Elektrotechniki i Automatyki. Decyzja firmy Philips była podyktowana chęcią promocji działalności firmy w regionie gdańskim i dlatego zdecydowano, że Politechnika Gdańska będzie tą uczelnią, której przekazany zostanie dar w postaci nowoczesnego komputerowego systemu sterowania procesami produkcyjnymi. Jak to podkreślił dyrektor Ch. V. Sujana w swoim wystąpieniu, wybór Gdańska podyktowany był dwoma względami: po pierwsze jest to rozwinięte miasto przemysłowe leżące nad Bałtykiem, a ponadto miasto to obchodzi w 1997 roku rocznicę swego 1000-letniego istnienia. Wartość stanowiska wynosi około 50 000 DM, a więc około 100 000 PLN. Firma Philips pokryła również wszystkie koszty związane opłatami granicznymi i transportem.

Uroczyste przekazanie darowanego sprzętu i uruchomienie komputerowego stanowiska wizualizacji i sterowania procesami technologicznymi PMSX odbyło się 30 października 1997 r. przez wyżej wymienionych przedstawicieli firmy Philips Industrial Electronics Deutschland. W uroczystości wzięli również udział: rektor Politechniki Gdańskiej prof. dr hab. inż. Aleksander Kołodziejczyk, dziekan Wydziału Elektrotechniki i Automatyki prof. dr hab. inż. Przemysław Pazdro, dyrektor administracyjny Wydziału mgr inż. Janusz Fudali, Kierownik Katedry Miernictwa Elektrycznego dr hab. inż. Ryszard Roskosz, prof. PG, prof. dr hab. inż. Jerzy Sawicki (długoletni kierownik Katedry ME - obecnie na emeryturze), dr hab. inż. Paweł Zimny, prof. PG, oraz pracownicy Katedry i zaproszeni goście. Po okolicznościowych przemówieniach rektor PG prof. A. Kołodziejczyk, w dowód uznania dla firmy Philips, wręczył na ręce dyrektora Ch. V. Sujana medal pamiątkowy Politechniki Gdańskiej. Uroczystość zakończyło spotkanie przy kawie u dziekana Wydziału Elektrotechniki i Automatyki.

Przekazany dar wzbogaci wyposażenie istniejącego już od kilku lat przy Katedrze Miernictwa Elektrycznego Laboratorium Systemów Pomiarowych. Organizatorem i opiekunem tego Laboratorium jest dr inż. Dariusz Świsulski. Laboratorium to daje możliwość realizacji programu studiów przedmiotów



Dar firmy Philips Industrial Electronics Deutschland



*Uroczystość przekazania daru. Od prawej: prof. P. Zimny, dr inż. D. Świsłowski, mgr inż. S. Wroński, mgr inż. Ch. V. Sujan, mgr inż. S. Trömer, mgr inż. J. Jachowicz*

związanych z nowoczesną techniką pomiarową, w której komputer nie tylko steruje przebiegiem procesu, ale także umożliwia przetworzenie wyników według złożonych algorytmów i przedstawienie ich w wygodnej postaci. Wyposażenie Laboratorium pozwala studentom zapoznać się z budową, oprogramowaniem i działaniem współczesnych systemów pomiarowych. Mogą korzystać ze zintegrowanych środowisk programowania: LabVIEW (National Instruments), HP VEE (Hewlett-Packard) czy TestPoint (Keithley). Znajdujące się w laboratorium systemy wykorzystują moduły akwizycji sygnałów pomiarowych, interfejsy IEEE 488 oraz interfejsy RS-232. Komputery znajdujące się w Laboratorium podłączone są do Internetu, umożliwiając przesyłanie danych pomiarowych.

Przekazany do Laboratorium Systemów Pomiarowych przez firmę Philips Industrial Electronics nowoczesny, profesjonalny system sterowania procesami technologicznymi PMSX pozwala na nadzór procesów technologicznych realizowanych w zakładzie przemysłowym. PMSX może sterować procesami i instalacjami rozproszonymi nawet na dużym obszarze. W takim wypadku procesy rozproszone sterowane są przez lokalne systemy, natomiast cały proces sterowany jest przez system nadzorczy. Na poziomie automatyki w systemie PMSX wykorzystywane są programowalne sterowniki logiczne (PLC) typu P8. Sterowniki te mogą obsługiwać wejścia i wyjścia analogowe i cyfrowe. Sterowniki dołączane są do sieci z wykorzystaniem lokalnego procesora komunikacyjnego, który dodatkowo kontroluje wartości graniczne, generowanie alarmów i archiwizowanie danych. Podstawą pracy systemu PMSX są punkty pomiarowe. Definicje punktów pomiarowych mogą być dodawane, zmieniane i usuwane nawet w czasie pracy systemu. Raz zdefiniowany punkt pomiarowy znany jest w całym systemie, a jego nazwa może być używana we wszystkich obrazach procesu i raportach.

Systemy sterowania procesem PMSX pracują już w wielu miejscach. W Polsce system taki rozpoczęto wdrażać w roku 1995 do nadzoru sieci ciepłowniczej miasta Lublina. Zadaniem tego systemu jest sterowanie wysokoparametrową siecią ciepłowniczą miasta. Wyposażenie stanowiska przekazanego przez firmę Philips Industrial Electronics Deutschland umożliwia zapoznanie się z praktycznym rozwiązaniem tego systemu. Umożliwia też tworzenie, w zależności od potrzeb, dowolnych nowych rozwiązań.

Studenci odbywający zajęcia w Laboratorium Systemów Pomiarowych na Wydziale Elektrotechniki i Automatyki mogli się już zapoznać z filozofią i architekturą systemu PMSX, a także z przykładowymi aplikacjami: m.in. systemem nadzoru nad siecią ciepłowniczą miasta, systemem sterowania procesa-

mi zaopatrzenia regionu w wodę pitną, oczyszczalni ścieków i spalarni odpadów. Zaznajomią się również ze sposobem projektowania takich systemów. Przy użyciu edytora graficznego PMSX można bowiem tworzyć obrazy i podobrazy wywołwane z obrazów procesu. Wartości na tych obrazach mogą być wyświetlane dynamicznie, np. jako wartości liczbowe, wykresy, czy zmiany kolorów.

W ramach zajęć studenci zapoznają się z językiem programowania PMSX STX, pozwalającym na wykonywanie złożonych funkcji przez system, oraz poznają edytor PMSX RTX zawierający specjalną składnię dla dostępu i formatowania danych archiwalnych w formie tabel i trendów oraz dla wyprowadzania alarmów i komunikatów. Oprócz studentów Wydziału Elektrotechniki i Automatyki z systemem PMSX mieli możliwość zapoznać się już studenci Wydziałów Mechanicznego oraz Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, dla których zajęcia dydaktyczne prowadzone są przez pracowników Katedry Miernictwa Elektrycznego.

Na zakończenie warto przypomnieć, że Katedra Miernictwa Elektrycznego i Pomiarów Maszyn powstała w 1945 roku, a jej twórcą i szefem do roku 1964 był profesor Stanisław Trzetrzeviński. W ciągu minionych lat nazwa i struktura jednostki ulegały zmianom. Związane to było ze zmianami organizacyjnymi zachodzącymi na Wydziale. Od roku 1991 obowiązująca nazwa brzmi: Katedra Miernictwa Elektrycznego. Po śmierci prof. S. Trzetrzevińskiego kolejnymi kierownikami jednostki byli doc. E. Kenig, doc. Alojzy Spichalski, a następnie - od roku 1970 aż do chwili przejścia na emeryturę w roku 1997 - prof. Jerzy Sawicki. Obecnym kierownikiem Katedry jest dr hab. Ryszard Roskosz, prof. nadzwyczajny PG. Pracownicy Katedry pełnili wiele funkcji kierowniczych na naszym Wydziale, między innymi prof. Stanisław Trzetrzeviński był prodziekanem Wydziału w latach 1945 - 1950 i dziekanem w okresie 1958 - 1964, a doc. Ludwik Referowski w latach 1975 - 1993 przez dwanaście lat pełnił funkcję prodziekana i przez sześć lat funkcję dziekana Wydziału. Katedra prowadzi współpracę naukową z bratnimi jednostkami naukowymi krajowych i zagranicznych uczelni. Pracownicy Katedry biorą aktywny udział w kongresach i konferencjach międzynarodowych i krajowych. Wyrazem uznania dla tej działalności jest między innymi przyznanie prof. Jerzemu Sawickiemu przez Politechnikę w Turynie nagrody "Prof. Italo Gorini Memorial Award"

*Ludwik Referowski, Ryszard Roskosz,  
Jerzy Sawicki, Dariusz Świsłowski  
Wydział Elektrotechniki i Automatyki  
(Fot. T. Chmielowiec i D. Świsłowski)*



*Długoletni pracownicy Katedry Miernictwa Elektrycznego.  
Od prawej: prof. J. Sawicki, doc. L. Referowski,  
prof. R. Roskosz*



# Profesor mgr inż. Antoni Kozłowski

## Kierownik Katedry Kotłów Parowych i Maszynoznawstwa PG

**A**ntoni Kozłowski urodził się 3 maja 1890 r. w Białymstoku, jako syn Józefa, urzędnika pocztowego, i Zofii z Cikockich. Dziadek jego, Piotr Kozłowski, powstaniec z 1863 r., był zesłany na Kaukaz, bez prawa powrotu, i skazany na konfiskatę majątku. Rodzice Antoniego przenieśli się na Kaukaz, chcąc zaopiekować się starym ojcem, Antoniego pozostawiając opiece babek i ciotek. W roku 1899 zaczął uczyć się w klasie wstępnej szkoły realnej w Białymstoku. Mieszkał u ciotki. Matka co roku przyjeżdżała. Uczył się bardzo dobrze. Od 4. klasy zarabiał korepetycjami na utrzymanie. W 1905 r., jako uczeń 5. klasy i zarazem członek potajemnego rewolucyjnego kółka uczniowskiego był aresztowany przez zandamerię carską; po przesłuchaniu został zwolniony. W 1908 r. pojechał do Charkowa, gdzie zdał egzamin z łaciny i zapisał się na uniwersytet, na medycynę. Wyjechał z Charkowa ze względu na rozruchy i zamknięcie uczelni. W roku 1907 został przyjęty do Instytutu Politechnicznego w Petersburgu, gdzie przyjmowano na podstawie świadectw. Cały czas pracował na swoje utrzymanie.

W 1913 roku, w grupie kilku kończących studia studentów, wysłany został do Niemiec, do różnych zakładów przemysłowych Berlina, Hanoweru, Magdeburga i Brunshwiku. W roku 1915 uzyskał absolutorium i wykonał pracę dyplomową.

Stale pracował na stanowiskach inżynierskich. W latach 1915-1916 był inżynierem-rewidentem fabryk pracujących na potrzeby armii, zaś w roku 1916 pracował w oddziale angielskiej firmy Eabcoch & Wilcox Ltd. w Piotrogradzie, która dostarczała kotły parowe do rosyjskich fabryk zbrojeniowych.

W 1917 r. obronił pracę dyplomową i uzyskał tytuł naukowy inżyniera mechanika I kategorii. Delegowany przez władze wojskowe, jako inżynier wojskowy, na stanowisko kierownika Działu Stopów Kolorowych. Po rewolucji październikowej objął stanowisko naczelnika Wydziału Budowy Maszyn w Wyższej Radzie Gospodarczo-Ludowej. W maju 1920 r., na skutek zarządzenia Komitetu Obrony, jako Polak został przeniesiony do Taszkentu, gdzie w Dyrekcji Kolei Środkowoazjatyckiej objął stanowisko naczelnika Wydziału Remontów, jednocześnie wykładając w średniej szkole technicznej. W październiku 1920 r. Główny Zarząd Kolei został przeniesiony do Aszhabadu. Tam był również naczelnikiem Wydziału i prowadził wykłady w Technikum Kolejowym. Napisał podręcznik *Kurs parowych kotłów*. Po zawarciu pokoju między ZSRR a Polską, wyjechał w 1921 r. do Białegostoku. Zgłosił się do Stowarzyszenia Dozoru Kotłów w Warszawie i został zaangażowany na stanowisko inżyniera rewidenta i do badań cieplnych. Pracował w Warszawie, Łodzi i Białymstoku, gdzie zorganizował oddział Stowarzyszenia Dozoru Kotłów. Był rzeczoznawcą i doradcą technicznym w sprawach cieplnych i energetycznych, nie tylko w zakładach przemysłowych, ale w za-



ładach miejskich, urzędach przemysłowych, władzach wojskowych i sądach.

W okresie 1922-1924 wykonał około 60 ekspertyz i badań silników parowych, zorganizował oddział Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich w Białymstoku, wygłaszał odczyty, prowadził wykłady dla robotników, techników i inżynierów, ogłosił drukiem w czasopiśmie technicznych kilka prac z dziedziny kotłowej, zorganizował i prowadził kurs dla palaczy i maszynistów.

W 1925 r. ożenił się z Anielą z domu Janowicz. Miał jednego syna, Jana Przemysława, późniejszego profesora Politechniki Gdańskiej.

W 1928 r. został przeniesiony do Lublina na stanowisko kierownika Oddziału Stowarzyszenia Dozoru Kotłów, obejmującego województwo lubelskie i wołyńskie, rejon zaniedbany i źle prowadzony. Doprowadził go do stanu wzorowego. Wykonał około 50 ekspertyz, nie licząc setek porad i wskazówek technicznych. Opublikował szereg artykułów, przeważnie w "Technice Ciepłej" i "Techniku Lubelskim", wygłosił odczyt na zjeździe inżynierów w Warszawie. Przeprowadził kilka kursów dla obsługujących kotły na Politechnice w Warszawie, Lublinie, Łucku i w Równem. Będąc wiceprezsem SIMP (data wstąpienia do SIMP - 1935 r.) brał czynny udział w działalności Stowarzyszenia na województwo lubelskie. Był przewodniczącym pierwszego zarządu oddziału SIMP w Gdańsku w latach 1946-47 oraz 1949-50.

Z ramienia Stronnictwa Pracy w 1934 roku został wybrany do Rady Miejskiej m. Lublina, i pracował jedną 5-letnią kadencję; niestety, wybrany ponownie w 1939 r., na skutek wojny nie mógł pełnić tej zaszczytnej funkcji.

Do 1939 r. był w Komitecie Organizacji Zjednoczenia "LUBZEL" jako członek Rady Nadzorczej; do 1940 r. był członkiem Komisji Rewizyjnej Zjednoczenia. Pełnił obowiązki zastępcy dyrektora Stowarzyszenia Dozoru Kotłów w Warszawie, będąc kierownikiem rejonu Lublin. 18 września 1939 r. został aresztowany przez Niemców i po sprawdzeniu dokumentów zwolniony, ze względu na to, że był potrzebny jako inżynier dozoru kotłów. Przez okres okupacji niemieckiej był inspektorem kotłowym w Stowarzyszeniu Dozoru Technicznego (Überwachungsverd). Po oswoobodzeniu Lublina przez wojska radzieckie, pełnił nadal obowiązki inspektora technicznego, przyczyniając się do uruchomienia instalacji energetycznych.

1 lutego 1945 r. Komitet Organizacyjny Politechniki zaproponował mu prowadzenie wykładów na odradzającej się - na terenie Lublina - Politechnice Warszawskiej. 4 lutego rozpoczął wykłady z *kotłów parowych, maszyn parowych i maszynoznawstwa* na stanowisku zastępcy profesora. W czerwcu 1945 r. otrzymał zawiadomienie rektora, że z dniem 1 czerwca został mianowany profesorem nadzwyczajnym. Po oswoobodzeniu Warszawy, z dniem 1 października 1945 r. Politechnika na terenie Lublina została zamknięta.



Antoni Kozłowski - student Instytutu Politechnicznego w Petersburgu, 1914 r.



*Katedra Kotłów Parowych; I rząd od lewej: z-ca prof. mgr inż. Feliks Sauter, doc. mgr inż. Witold Rozner, prof. mgr inż. Antoni Kozłowski, doc. mgr inż. Konstanty Zablocki; II rząd: Helena Różalska - maszynistka, Zofia Łękowska - wyświetlarka, Anna Galinowska - sekretarka; III rząd: mgr inż. Jerzy Tych - asystent, mgr inż. Jausz Onoszko - asystent, dr inż. Tomasz Pankiewicz - adiunkt, dr inż. Włodzimierz Turyl - adiunkt*

Łącznie z kilkoma profesorami został zaangażowany na Politechnice Gdańskiej. Przyjechał do Gdańska 30 września, i 1 października 1945 r. objął Katedrę Kotłów Parowych i Maszynoznawstwa. Profesor, na polecenie rektora, przyjął czasowo kierownictwo Laboratorium Maszynowego i Centrali Grzejnej PG. Dopiero w 1947 r. Laboratorium Maszynowe objął zastępca prof. inż. Feliks Sauter. Prof. Kozłowski wykładał na trzech wydziałach PG, a mianowicie: Budowy Okrętów, Elektrycznym i Inżynierii Rolnej, w zimowym semestrze dodatkowo w Szkole Inżynierskiej NOT i w Liceum Budowy Okrętów. 16 marca 1948 r. otrzymał od Prezydenta Rzeczypospolitej nominację na profesora nadzwyczajnego. Bierze udział w kilku komisjach Politechniki, a także w Komisji Napędów Okrętowych Ministerstwa Żeglugii, jest doradcą technicznym Centralnego Zarządu Przemysłu Okrętowego, sprawdzającym projekty w Państwowym Biurze Projektów Budownictwa Okrętowego.

Działalność profesora od 1945 r.:

- Trzy lata pracował jako kurator Koła Mechaników Studentów PG.
- Zorganizował z polecenia NOT w 1946 r. oddział SIMP w Gdańsku i był od 1949 do 1950 r. prezesem tego oddziału, a w latach 1946-47 przewodniczącym pierwszego zarządu.
- Z polecenia Zjednoczenia Stoczni Polskich zorganizował i prowadził w ciągu 13 miesięcy oddział kotłowy, tzn. biuro konstrukcyjne kotłów Mowden-Johnson na statki typu Soldek. Po przeniesieniu z Politechniki do CZPO, pracował dalej jako doradca techniczny.
- Z polecenia Rady Wydziału Budowy Okrętów pełnił obowiązki kierownika studiów (opiekun roku II i IV studentów sekcji BMO).
- Z polecenia rektora PG opracował projekt wstępny nowej kotłowni dla Politechniki i uzgodnił zamówienie w Gliwicach i Sosnowcu.

- Wykonał około 10 projektów rozmaitych instalacji, paleńsk, urządzeń wyciągowych, kotłowni, kominów itp. dla kilku państwowych zakładów przemysłowych.
- Wykonał kilka ekspertyz, udzielał szeregu porad, wydawał podręczniki z maszynoznawstwa, opublikował szereg artykułów w "Przeglądzie Technicznym" oraz szereg ekspertyz dla sądu.
- Zorganizował 3 sesje naukowe Katedry Kotłów Parowych na poziomie krajowym, z dużym uznaniem przyjęte przez przedstawicieli przemysłu i profesorów wyższych uczelni. Jego pracownicy wygłaszali referaty.
- Pisał książkę *Kotły parowe* z pracownikami Katedry, podczas gdy w kraju nie było żadnych podręczników. Zorganizował Katedrę od przysłowiowego zera.

Prof. Antoni Kozłowski zmarł 28 grudnia 1955 r., przeżywszy 65 lat.

Na prośbę syna profesora, mam zaszczyt opracować biografię Profesora jako mego zwierzchnika, a jednocześnie jako najstarszy jego pomocnik.

Sylwetka profesora: patriota, szlachetny, o prawym charakterze, skromny, ambitny, o inwencji twórczej. Lubił piękno i sztukę. Sam wysoce utalentowany, pięknie malował, grał na skrzypcach, śpiewał. Czuły i wrażliwy na prawdę, nie znosił kłamstwa. Wykłady jego były jasne i zrozumiałe dla studentów. Był powszechnie lubiany przez wszystkich. Doskonały orator, lubił humor i dowcipy. Od 4. klasy gimnazjum realnego sam zarabiał na swoje utrzymanie. Znam profesora nie tylko z współpracy z nim, ale także z opowiadań moich śp. Rodziców. Za życia profesora Katedra rozwijała się, po jego śmierci straciła samodzielność, przeniesiono ją z Budowy Okrętów na Budowę Maszyn.

*Tomasz Pankiewicz  
Były pracownik PG*

# Moje exposé na 40-lecie parlamentaryzmu na Politechnice Gdańskiej

**M**agnificencjo, Szanowni Państwo, Zaproszeni Goście, Drogie Koleżanki i Koledzy.

Na wstępie chciałbym powiedzieć, iż moje exposé nie będzie zbyt długie i męczące dla wszystkich tutaj zebranych. Wyznaję bowiem zasadę, iż należy mówić krótko, ale treściwie, i tej teorii zamierzam się trzymać.

Tak się zdarzyło, że objęcie przeze mnie funkcji przewodniczącego Samorządu Studentów na Politechnice Gdańskiej zbiegło się z 40. rocznicą powstania Parlamentu Studentów na naszej Uczelni. Dokładnie 25 listopada 1957 roku, w poselskich ławach po raz pierwszy zasiadło 46 studentów, przedstawicieli całej Uczelni, tworząc Parlament. Mijały lata, zmieniały się stroje, a na czele Parlamentu stawali nowi premierowie, marszałkowie. Pod obrady studenckiego Parlamentu trafiały coraz to poważniejsze sprawy. Wszyscy głosili hasło: "**NIC O NAS BEZ NAS**". Kolejne kadencje władz poszerzały horyzonty swojej działalności. Stworzono między innymi studencką spółdzielnię pracy, która rozpoczynała swoją działalność od produkcji świec, wody gazowanej, a kończyła na sprzedaży popularnych w owym czasie kółek hula hoop. Z biegiem lat stopniowym zmianom ulegała również struktura Parlamentu. Takie procesy zachodzą do dnia dzisiejszego. W chwili obecnej stanąłem - jako nowy przewodniczący - przed zadaniem nie tylko objęcia pieczy nad Samorządem, ale również po raz pierwszy pokierowania nową strukturą. W dniu dzisiejszym czuję się mniej więcej tak samo, jak pierwszy premier Parlamentu Politechniki Gdańskiej, pan Bogusław Sakowicz. Może to współczesne zadanie nie jest tak trudne, jak 40 lat temu, kiedy nikt nie mógł wzorować się na innych schematach organizacyjnych, kiedy tworzone wszystko od początku. Dzisiaj mam ten komfort psychiczny, że mogę korzystać z doświadczeń wypracowanych latami przez Was studentów-parlamentarzystów Politechniki Gdańskiej sprzed lat pięciu, dziesięciu i czterdziestu.

Gdy z dzisiejszego punktu widzenia patrzymy w przeszłość, zastanawiamy się, ile siły było w tych młodych ludziach, ile inicjatywy. Jak bardzo dążyli oni do ujednoczenia akademickiego środowiska, zaakcentowania swojej obecności nie tylko poprzez poszanowanie nauki, ale również poprzez twórcze, zespołowe działanie na rzecz wspólnego dobra. Od tamtych lat minęło wiele czasu i - co może cieszyć - ciągle pojawiają się następcy naszych parlamentarnych kolegów z lat 50. i 60., którzy, jak czterdzieści lat temu, wykazują się chęcią do działania, ogromną inicjatywą, wnosząc coraz to bardziej oryginalne pomysły, które mają pokazać, że studencka działalność na Politechnice Gdańskiej była, jest i jeszcze długo będzie.

Do takich ludzi mógłbym zaliczyć się chyba i ja. Decydując się na kandydowanie na to stanowisko, stworzyłem sobie swój własny wizerunek Parlamentu i Samorządu. Postawiłem przed sobą dwa podstawowe cele:

- **po pierwsze** - stworzyć z Politechniki Gdańskiej jeszcze silniejszy niż obecnie ośrodek działalności studenckiej, który będzie widoczny na arenie krajowej, przynosząc chwałę naszej *Alma Mater*;



*Roman Niewęglowski, nowy przewodniczący Samorządu Studentów PG podczas wygłoszenia exposé*

- **po drugie** - propagować hasło integracji studenckiej. Bez względu na wiek, płeć, narodowość i niejednokrotnie kolor skóry, bratać się ze wszystkimi studentami naszego regionu, kraju, a może i Europy, dla których przewodnim celem w życiu jest propagowanie idei akademickiego życia, zgodnego ze słowami ślubowania: "*Wstępując do wspólnoty akademickiej Politechniki Gdańskiej, ślubuję uroczysto przestrzegać zasad współżycia i tradycji akademickich*".

Wiem, że może postawiłem przed sobą, Samorządem i Parlamentem wielkie wyzwanie, które niekoniecznie może się spełnić, ale wierzę mocno w to, że moje koleżanki i koledzy, którzy będą ze mną współpracowali, oraz grono akademickie z Panem Rektorem na czele, w miarę swoich możliwości pomogą nam zrealizować choć część tych planów.

Na koniec chciałbym wyrazić swoją wdzięczność wszystkim tym, którzy uwierzyli we mnie i moje plany. W pierwszej kolejności chciałby podziękować moim rodzicom, którzy byli bezpośrednimi świadkami przeistaczania się mnie z małego chłopca, poprzez zbuntowanego młodzieńca, w blisko dwumetrowego działacza Samorządu studentów. W drugim rzędzie chciałbym podziękować wszystkim moim przyjaciółom, którzy nie tylko wierzyli we mnie, ale i w trudnych chwilach wspierali dobrym słowem i pomocną dłońią. I - jako ostatnim - chciałbym podziękować wszystkim tym, którzy przybyli na dzisiejszą uroczystość, aby uczcić 40. rocznicę powstania Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej.

*Dziękuję bardzo.*

*Roman Niewęglowski  
Przewodniczący Samorządu Studentów  
Politechniki Gdańskiej*



W skład Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej wchodzi przedstawiciele poszczególnych wydziałów w liczbie 48, oraz dwóch przedstawicieli Rady Osiedla, w osobach przewodniczącego i jednego członka. Tak więc pełna liczba Parlamentu Studenckiego wynosi 50 osób. Dodatkowo osoby pełniące funkcję w Zarządzie mają tzw. mandaty funkcyjne, co oznacza, że na ich miejsce poszczególne WRS-y mogą powołać dodatkowe osoby. Wtedy pełny skład Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej wynosi 53 osoby.

#### Zarząd Samorządu Studentów Politechniki Gdańskiej:

Przewodniczący: **Roman Niewęglowski**, Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki  
Zastępca ds. finansowych: **Rafał Kleist**, Wydział Budownictwa Lądowego  
Członek Zarządu: **Bartosz Kowalski**, Wydział Chemiczny

#### Uczelniana Rada Studentów:

1. **Roman Niewęglowski** - Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki - Przewodniczący
2. **Daria Podlaska** - Wydział Architektury
3. **Łukasz Stepnowski** - Wydział Budownictwa Lądowego
4. **Agnieszka Kuczara** - Wydział Chemiczny
5. **Paweł Nadolny** - Wydział Elektrotechniki i Automatyki
6. **Krzysztof Malicki** - Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki
7. **Aneta Snopek** - Wydział Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej
8. **Adam Kalduński** - Wydział Inżynierii Środowiska
9. **Grzegorz Purzycki** - Wydział Mechaniczny
10. **Małgorzata Habina** - Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa
11. **Edyta Korytkowska** - Wydział Zarządzania i Ekonomii
12. **Hubert Kowalski** - Rada Osiedla

## 40 lat Parlamentu

**P**anie Przewodniczący, Panie i Panowie, Dostojni Goście!  
Wszystkich absolwentów Politechniki Gdańskiej, jej dzisiejszych studentów łączy szczególny emocjonalny stosunek do miejsca, w którym się znajdujemy, które nazywamy naszą ALMA MATER - naszą Politechniką Gdańską.

Tradycja i ciągłość działania publicznych instytucji edukacyjnych takich, jak politechniki i uniwersytety - to podstawa utrzymania tradycji narodowych i realizowania postępu cywilizacyjnego.

Świadomość tego faktu, dla nas absolwentów Politechniki Gdańskiej, staje się coraz bardziej oczywista, gdy patrzymy z dystansu 20, 30 i więcej lat od momentu otrzymania tutaj dyplomu. W czasach, gdy studiowaliśmy, nie myśleliśmy tymi kategoriami.

Porywała nas młodość, radość życia w środowisku rówieśników, rywalizacja w nauce i o dziewczyny, porywała nas cała atmosfera życia akademickiego uformowana tradycją uczelni



*Dr inż. Jacek Jettmar - dyrektor i właściciel firmy doradczej CENTRUM PROMOCJI sp. z o.o., były długoletni nauczyciel akademicki PG - były premier i marszałek UP ZSP PG w latach 1962 - 65*

i kształtowana wymaganiami kadry nauczającej. Atmosferę, zachowanie i styl życia studenckiego kształtowaliśmy sami poprzez wzajemne oddziaływanie, mieszkając w akademikach, działając w klubach studenckich, kołach naukowych i w organizacjach studenckich oraz biorąc udział w licznych studenckich imprezach turystycznych, kulturalnych, rozrywkowych i sportowych.

Dwa lata temu obchodziliśmy 50-lecie Politechniki Gdańskiej, co było okazją do spotkań wielu pokoleń absolwentów. Wspomnienia wtedy snute i obserwacje czasów przed i po naszym pobycie na uczelni uzasadniają spostrzeżenie, że istniały w życiu studenckim Politechniki Gdańskiej dłuższe okresy niż czas studiów jednego rocznika, okresy, które charakteryzowały się swoistym klimatem, stylem i charakterem, a które można by nazwać epoką pokoleniową. Nasz nieodżałowany, niedawno zmarły kolega Andrzej Cybulski nazwał jedną z takich epok - "pokoleniem kataryniarzy".

Myślę, że sprawiedliwie i słusznie można uznać, że każda epoka pokoleniowa życia studenckiego tworzy w określonym stopniu tradycję Politechniki Gdańskiej. Każda z tych epok wniosła jakieś wartości do tradycji uczelni, wartości w mniejszym lub większym stopniu aktualnie wykorzystywane, ale na pewno ważne i godne pamiętania.

Szczególną misją wielu pokoleń absolwentów Politechniki Gdańskiej, którzy studiowali w okresie od 1957 roku, jest pamiętanie i przypominanie o "epoce Parlamentu Studenckiego ZSP", która trwała około 20 lat.

Kronikarz "pokolenia kataryniarzy" Andrzej Cybulski tak opisał pierwszą sesję Uczelnianego Parlamentu ZSP Politechniki Gdańskiej.

Cytujemy:

*"Wielki hall Politechniki zamienił się w uroczyste foyer Parlamentu. Wypełnia go młodzież. Kreacje dziewcząt, nienagannie wyprasowane garnitury. Dyplomatyczne ukłony i gesty grzecznościowe. Co słyszać w kołach Budownictwa Okrętowego? Niewiele - odpowiedział zagadnięty poseł i tajemniczo potrząsnął czupryną, energicznym krokiem zmierzając do sali. A tam szum kamer, błysk flesza. Za kilka minut rozpocznie się sesja, pierwsza sesja Uczelnianego Parlamentu ZSP Politech-*

niki Gdańskiej. Studenci posłowie zgłosili się w komplecie. Łoża prasowa pełna. Są też profesorowie, na czele z rektorem prof. Wacławem Balcerskim. Historyczny dzień: 25 listopada 1957 roku.

Poseł Bogusław Sakowicz otwiera pierwszą sesję. Z setek studenckich gardel płynie "Gaudeamus igitur". Potem ślubowanie poselskie. Na mównicę wchodzi poseł Czesław Druet. Ma natchnioną twarz. Referuje, czego dokonała Rada Uczelniana ZSP w kończącym się, ale wyjątkowo aktywnym roku. Jasno przedstawia sytuację w ruchu studenckim oraz propozycje rozwiązań. Mamy dzisiaj powołać studencki Parlament - mówi. Projekt Parlamentu i ordynacja wyborcza powstały w rozmowach ze studentami. W myśl tych projektów, wydziały Uczelni stanowią okręgi wyborcze. Wybiera się jednego posła na pięćdziesięciu członków ZSP. Parlament jest wybierany na dwa lata. Pracuje poprzez sesje plenarne oraz w komisjach. Ciałem wykonawczym jest Komitet Wykonawczy Uczelnianego Parlamentu - nasz "rząd". Powołamy także radę seniorów. Zasiadać w niej będą byli działacze ZSP i "Bratniej Pomocy", prorektor do spraw młodzieży, inżynierowie z zakładów pracy. W grudniu tego roku zbiera się II Zjazd ZSP, aby usunąć wszystko zło istniejące w naszej organizacji - mówił Czesław Druet - aby nadać jej nowe oblicze. Pamiętajmy, że jesteśmy jedyną studencką organizacją, konieczną i jak najbardziej celową. W naszej Uczelni chcemy stworzyć organizację swobodną i demokratyczną. Będzie nią Uczelniany Parlament ZSP, miejsce ścierania się poglądów i nieposłusznych myśli, wyzwolonych

mózgów i serc. Miejsce obrony praw wydziałów, lat, grup. Nie o nas bez nas. Chcemy decydować o stypendiach, zapomogach, wczasach, wyjazdach za granicę, przydziałach pracy, miejscach w domach akademickich, o pracy w klubach, teatrzykach, o pracy stołówek. Program nasz będzie w całości podporządkowany sprawom studenckim." Koniec cytatu.

Na ostatniej stronie zaproszenia na dzisiejsze posiedzenie przeczytać Państwo mogą bardzo małymi literami napisaną, bardzo skrótowo przedstawioną, a w istocie długą i bogatą w osiągnięcia historię Uczelnianego Parlamentu ZSP Politechniki Gdańskiej. Historię i tradycję, z której powinniśmy być dumni. Uczelniany Parlament, w epoce, w której upadł już stalinizm, ale nadal trwał totalitaryzm, wdrożył autentyczny demokratyczny samorząd studencki, który poprzez swoją formę i styl okazał się niemożliwy do "ręcznego sterowania" przez PZPR i młodzieżową siłę przewodnią ZMS.

Parlament działał w strukturze Zrzeszenia Studentów Polskich i opierał się na statucie tej organizacji, lecz wiele rozwiązań regulaminowych i zasad było całkowicie naszych. Żadna inna uczelnia w Polsce nie powtórzyła idei naszego Parlamentu - to wyróżniło Politechnikę Gdańską i jej studentów na forum ogólnopolskim. Dawało nam to szczególną siłę wyrażania opinii i dawania dobrego przykładu, jak powinien funkcjonować samorząd studencki.

Parlament przekonał władze uczelni o celowości swojego istnienia dojrzałością i odpowiedzialnością. Przez wiele lat współpraca władz uczelni i Parlamentu układała się bardzo



Wielopokoleniowe spotkanie parlamentarzystów, 29.11.1997 r.



*Jedni z organizatorów 40-lecia parlamentaryzmu - dinozaury samorządności studenckiej w Gdańsku*

dobrze. Wielu byłych rektorów i pierwszych sekretarzy uczelnianej organizacji PZPR okazywało jawną sympatię i pomoc dla Parlamentu, gdyż doceniali kompetencje, odpowiedzialność, uczciwość i ofiarność studentów pełniących różnorodne funkcje na różnych szczeblach samorządu studenckiego i angażujących się bezinteresownie w działania na rzecz wspólnego dobra. Ocenia się, że w "złoty czasach" Parlamentu wszystkie szczeble i agendy, które bezpośrednio lub pośrednio były kontrolowane przez Parlament, skupiały około 700 studentów, pełniących różnorodne funkcje kierownicze lub wykonawcze.

Uczelniany Parlament poprzez swój regulamin i zasady stworzył praktyczną rotację kadr - marszałkowie i "premierzy" nie mogli być wybierani na drugą kadencję - co było przeciwstawieniem zasadom obowiązującym w PZPR i co bardzo nie podobało się władzom ze względu na zły przykład. Parlament stworzył protokół i etykietę prowadzenia publicznych rozmów i uczył parlamentarnych demokratycznych zachowań i zasad.

W powyższym aspekcie Parlament był na pewno wielką szkołą obywatelskiego wychowania i praktycznym przygotowaniem do zawodu inżyniera i menedżera.

Wszyscy absolwenci Politechniki Gdańskiej, którzy mieli szczęście studiować w okresie, gdy działały wszystkie struktury i agendy UP, wspominają z dumą swój w nim udział i uznają, że doświadczenie, które tutaj zdobyli, miało ogromny i pozytywny wpływ na ich osobisty rozwój i karierę zawodową.

Wszyscy byli parlamentarzyści uznają okres Uczelnianego Parlamentu za niezwykle, wielki i godny okres w historii i tradycji Politechniki Gdańskiej. Ten przekaz tradycji Uczelnianego Parlamentu pragną ofiarować dzisiejszym studentom i dzisiejszemu samorządowi studenckiemu, aby tę piękną tradycję kultywowali i rozwijali.

*Jacek Jettmar  
Absolwent Politechniki Gdańskiej  
(Fot. T. Chmielowiec)*



*Senator RP prof. Edmund Wittbrodt i prorektor PG ds. nauki prof. Jan Godlewski przeglądają okolicznościowe wydawnictwo pt. "40-lecie Parlamentaryzmu Studenckiego w Politechnice Gdańskiej"*

**Katedra Miernictwa Elektronicznego i Katedra Aparatury Pomiarowej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki PG oraz Katedra Miernictwa Elektrycznego Wydziału Elektrotechniki i Automatyki PG pod patronatem Komitetu Metrologii i Aparatury Naukowej PAN oraz Polskiego Stowarzyszenia Pomiarów Automatyki i Robotyki POLSPAR organizują**

## **Krajowy Kongres Metrologii KKM '98 "NOWE WYZWANIA I WIZJE METROLOGII" Gdańsk, 15-18 września, 1998**

Patronat Honorowy: Przewodniczący Komitetu Badań Naukowych, Sekretarz Wydziału IV PAN, Rektor PG

Przewodniczący Komitetu Naukowego: prof. dr hab. inż. Krzysztof Badźmirowski

Przewodniczący Kongresu: prof. dr inż. Romuald Zielonko

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego: dr hab. inż. Ryszard Roskosz

Celem Kongresu jest prezentacja najnowszych krajowych osiągnięć metrologii w szerokim, interdyscyplinarnym ujęciu oraz wykreowanie wizji jej perspektyw rozwojowych i nowych zastosowań w gospodarce narodowej ze szczególnym uwzględnieniem: roli metrologii jako podstawowego narzędzia podnoszenia jakości, wpływu postępów elektroniki i informatyki na rozwój metrologii oraz zadań metrologii wynikających z integracji z Unią Europejską.

Adres do korespondencji: **Komitet Organizacyjny Krajowego Kongresu Metrologii KKM '98**

Politechnika Gdańska

80-952 Gdańsk, ul. Narutowicza 11/12

tel. (58) 347 13 97, tel./fax. (58) 347 17 26, e-mail: kongres@ely.pg.gda.pl

# Uczeni w anegdocie

**D**ziś prezentujemy czytelnikom garść wspomnień i anegdot dotyczących prof. fizyki Arkadiusza Piekary i jego bratanka doc. Brunona Piekary, którzy w latach 1946-1956 byli pracownikami Katedry Fizyki Politechniki Gdańskiej. Wspomnienia te nadesłał do naszej redakcji syn doc. Brunona Piekary - pan mgr inż. Ryszard Jacek Piekara, absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej. Poniżej przytaczamy w całości jego list, który wzbogaci niewątpliwie naszą świeżo zapoczątkowaną rubrykę "Uczeni w anegdocie". **Ponownie prosimy o nadsyłanie wspomnień o anegdotycznych zdarzeniach z życia znanych uczonych.**

Politechnika Gdańska  
"Pismo PG"

Szanowni Państwo,

ośmielony apelem o nadsyłanie anegdot dotyczących uczonych, pozwolę sobie na przytoczenie kilku zdarzeń znanych mi z przekazów rodzinnych czy od znajomych, lub których byłem świadkiem. Otóż mój Ojciec doc. Brunon Piekara i Stryj prof. Arkadiusz Piekara byli znani ze swoistego poczucia humoru - szczególnie wobec studentów.

Stryj i Ojciec wielokrotnie przeplatali bardzo ciekawe i pełne demonstracji wykłady z fizyki różnymi wesołymi sentencjami. Np. prof. A. Piekara zwykł mawiać demonstrując modele molekuł alkoholi - "oto przyczyna naszego nieszczęścia narodowego". Doc. B. Piekara podczas niebywale interesujących pokazów (byłem na nich obecny jako chłopiec) ukazujących właściwości ciekłego powietrza o temperaturze ok.  $-200^{\circ}\text{C}$ , doprowadzał zdumionych studentów potęgą tej bardzo niskiej temperatury (róża po zanurzeniu w ciekłym powietrzu stawała się tak twarda jak porcelana i z trudnością była rozbijana młotkiem) do zbiorowego przerażenia w momencie, gdy na koniec pokazów silnym ruchem ręki wylewał na zebranych w Audytorium Maximum pojemnik z ciekłym powie-

trzem, które natychmiast po zetknięciu się z otaczającym powietrzem zamieniało się z głośnym sykiem w parę, nie docierając nawet do usiłujących uciec z ciasnych ławek studentów...

Sesje egzaminacyjne u obu Panów spędzały sen z powiek wielu studentom, ale za to podczas egzaminów dochodziło do zabawnych scen, jak np. gdy student nie umiał wyjaśnić działania sił odśrodkowych w ruchu wirowym, profesor Piekara łaskawie polecał mu biegać wokół biurka, aby pomóc w zrozumieniu problemu... W latach pięćdziesiątych, gdy obaj bracia Piekarowie pracowali razem w Katedrze Fizyki PG - jeden już jako profesor, drugi młodszy o 10 lat jako adiunkt - w swoisty sposób objawiali studentom tzw. miłość braterską (jakże różną od innych miłości nam znanych!).

Otóż podczas wykładów młodszego - starszy zasiadał w najdalszych ławach pilnie notując... jego potknięcia i błędy, które to na koniec wykładu głośno odczytywał wobec całej sali ostupiałych studentów!

Morał stąd taki, że uczyć się należy aż do śmierci - obaj Panowie pracowali naukowo aż do końca - prof. Arkadiusz Piekara i doc. Brunon Piekara odeszli od nas w 1989 roku.

Z poważaniem

Ryszard Jacek Piekara  
Absolwent Wydziału Elektroniki PG



Po lewej: adj.  
Brunon Piekara

Po prawej: Katedra  
Fizyki - lata  
pięćdziesiąte;  
od lewej: prof.  
Arkadiusz Piekara,  
prof. Ignacy  
Adamczewski, adj.  
Brunon Piekara



"Piekara Arkadiusz (1904-1989 r.) fizyk, w latach 1939-40 więziony w obozach koncentracyjnych w Oranienburgu i Dachau. W czasie II wojny światowej prowadził wykłady z fizyki na tajnych kompletach na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1946 r. był profesorem fizyki na Politechnice Gdańskiej, od 1952 roku na Uniwersytecie Poznańskim, a od 1965 roku profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1963 r. - członek PAN; jest autorem prac naukowych z dziedziny fizyki dielektryków, fizyki emulsji i koloidów, elektro- i magnetoptyki, ferroelektryczności oraz dielektrycznych i optycznych zjawisk nieliniowych. Autor podręczników akademickich i wielu prac popularnonaukowych."

PS. Notkę biograficzną prof. Arkadiusza Piekary wyjęto z encyklopedii, a zdjęcia uczonych ze zbiorów pana Ryszarda Piekary.

Jadwiga Lipińska  
Klub Seniora



24 grudnia 1997 - Wigilia dla samotnych



10 stycznia 1998 - spotkanie oplatkowe Seniorów

## Boże Narodzenie w Klubie Seniora

U tartym już zwyczajem, w okresie grudnia - stycznia zbieramy się - wszyscy seniorzy - na wspólnym spotkaniu z oplatkiem, choinką i kolędami. A trwa to już w naszej uczelni siódmy rok.

Z każdym dniem stajemy się starsi, słabsi, a niektórzy z nas odeszli w tym roku z naszego grona już na zawsze. Ale także z każdym rokiem pojawiają się w naszym klubie nowi seniorzy. W tym roku (1997) na emeryturę przeszło około 60 osób. Witamy je bardzo serdecznie i zapraszamy do współpracy.

Ogólne świąteczne spotkanie oplatkowe poprzedziła wieczorna wigilijna w dniu 24 XII, nie tylko dla samotnych seniorów, bo zaprosiliśmy do udziału w niej również samotnych pracowników naszej uczelni. Nowo zakupiona ogromna choinka - jak żywa - przystrojona mnóstwem mrugających światełek, stwarzała prawdziwie świąteczny nastrój wigilijnego spotkania. Pierwsza gwiazdka ukazała się na niebie już o godzinie piątej i wtedy to nasza przewodnicząca Klubu Seniora, koleżanka Gizella Bober, rozpoczęła wieczerę łamiąc się z zebranymi oplatkiem i składając wszystkim wzruszająco serdeczne życzenia z okazji narodzin Bożej Dzieciny. Popłynęły cichutko melodie tak dobrze znanych, a tak zawsze nowych kolęd. Odczytany następnie w skupieniu fragment Pisma Świętego dopełnił wigilijnego ceremoniału.

Wielką niespodziankę sprawił nam Pan Rektor, przekazując świecę wigilijną z ogniem przywiezionym przez harcerzy z Betlejem. Zebrani, od ognia tej świecy zapalili swoje świeczki, które przyniosą z kolei do swoich własnych domów. Był to naprawdę wspaniały dar.

Na stołach zaczęły się pojawiać tradycyjne potrawy, jak to: barszczyk czerwony z uszkami, ryba w galarecie i po grecku, śledzie, naleśniki z grzybami i kapustą, kompot z suszonych owoców, ciasto z makiem, herbata i kawa. Pod koniec zaś wieczerzy odwiedził nas sędziwy Święty Mikołaj, aby osobiście wręczyć gościom złożone wcześniej pod choinką upominki. Po uroczystości zamówiony autokar porzwoził biesiadników do domów, mknąc przez prawie całkowicie opustoszałe ulice miasta.

Już po Nowym Roku 1998, 10 stycznia - Zarząd Klubu Seniora oraz kierownictwo uczelni z Jego Magnificencją Rektorem prof. Aleksandrem Kołodziejczykiem na cele zaprosiło do "reprezentacyjnych salonów" Politechniki wszystkich seniorów na Bożonarodzeniowe i Noworoczne spotkanie. A jest już nas w uczelni 1500 osób. Nie

wszyscy mogli przybyć, ale jednak zebrało się około 800 osób. I tak jak co roku, nastrój spotkania był zarówno uroczysty, jak i typowo rodzinny. Zebrani z uwagą wysłuchali życzeń złożonych przez przewodniczącego Klubu Seniora oraz przemówienia Pana Rektora, który następnie podzielił się oplatkiem osobiście, niemal ze wszystkimi seniorami, życząc Im Szczęśliwego Nowego Roku. Dzielenie się oplatkiem, składanie sobie wzajemnie życzeń trwało jeszcze długo, wśród gwaru i ogólnej życzliwości.

Uroczystość oplatkową uświetnił także swoją obecnością były nasz Rektor, a obecnie nowo wybrany do polskiego parlamentu Pan Senator prof. Edmund Wittbrodt. Przemawiając do zgromadzonych podziękował przy okazji za wyborcze głosy swojemu wiernemu elektoratowi - seniorom Politechniki Gdańskiej.

W dalszej części uroczystości dominowały śpiewane wspólnie przez wszystkich kolędy, tym razem pod przewodnictwem naszego nowego przyjaciela, syna jednej z Pań Seniorok, obdarzonego wielkimi zdolnościami wokalnymi - pana Antoniego Zoszcza. Oby zechciał On wspierać nas zawsze swoim talentem! W tym miejscu składamy Mu serdeczne dzięki. Dziękujemy również wnuczkom naszych Babć Seniorek - Ani, Kasi, Oli, dwóm Magdom, Witkowi i Bartkowi, które to wnuczka pomagały nam dzielnie w czasie trwania spotkania, roznosząc na stoły smaczny poczęstunek. Dziękujemy również bardzo pani Krysi z Działu Socjalnego za wielką pomoc w przygotowywaniu spotkania, oraz córce pani Przewodniczącej - pani architekt Anicie za piękną dekorację sali. Zaś specjalne podziękowania kierujemy do naszego długoletniego, wiernego i wy-

próbowanego przyjaciela - Pana Ryszarda Kloskowskiego, pracownika uczelni, który nieustrudzenie, i to nie od dziś, okazuje nam swoją pomoc w organizowaniu wszystkich naszych spotkań. Dodać muszę, że również cały Zarząd Klubu Seniora z pełnym zaangażowaniem i ofiarnością, na ile tylko pozwalały siły, zdrowie i wiek, nie szczędził trudu i wysiłku, aby nasze wspólne spotkanie wypadło pięknie i okazałe.

Było nam bardzo miło, że nie zawiedli zaproszeni goście - rektorzy, dyrektorzy administracyjni, przedstawiciele związków zawodowych oraz Biblioteki Głównej. Cieszyliśmy się naprawdę ich obecnością wśród nas.

Jadwiga Lipińska  
Klub Seniora





# Przyczyny niepowodzeń studentów I roku w nauce na Wydziale Chemicznym PG

*"Ludzie osiągający sukcesy zadają lepsze pytania  
i w rezultacie dostają lepsze odpowiedzi".*

*Anthony Robbins*

Celem wyższej uczelni technicznej jest wykształcenie współczesnego inżyniera, który powinien umieć odpowiedzieć nie tylko na pytanie "jak coś się dzieje?", ale i "dlaczego to się dzieje?". Niestety, następstwem przedmiotowego traktowania uczniów w szkole średniej jest wyuczona bezradność, nieporadność w rozwiązywaniu własnych problemów życiowych oraz oczekiwanie, że inni, odpowiedzialni za ich los, rozwiążą wszystkie te problemy. Przygotowanie do studiowania wczorajszych maturzystów, a dziś już studentów, jest ogromnie zróżnicowane i w dużym stopniu niespójne ze stawianymi im już od pierwszych tygodni nauki wymaganiami.

Propozycją wychodzącą naprzeciw problemom kandydatów do studiowania jest kurs adaptacyjno-wyrównawczy, dający szansę zorientowania się co do swych predyspozycji, poziomu przygotowania do wysiłku, podatności biopsychicznej na duże obciążenie pracą umysłową. Zajęcia adaptacyjne to wybrane tematy z matematyki i fizyki oraz nauka racjonalnego uczenia się, korzystania z literatury i wypowiedzania się. To wszystko, czego brakuje dużej części młodzieży rozpoczynającej studia. Kurs taki jest ogólnie dostępny i niezbyt kosztowny. Pomimo to przeważająca większość maturzystów rozpoczynających studia techniczne natrafia na trudności w pokonywaniu stawianych im wymagań już na początku drogi, w I i II semestrze nauki.

Od kilku już lat uwarunkowania procesu edukacji studentów I roku PG, a także wyników ich kształcenia budzą zainteresowanie kierownictwa naszej uczelni, kadry naukowo-dydaktycznej, Kuratorium Oświaty oraz dyrekcji i nauczycieli szkół średnich. Wymienione problemy stały się obszarem naukowych dociekań w związku ze zmniejszającym się z roku na rok odsetkiem studentów zaliczających bez problemów pierwsze dwa semestry nauki (dane z "PISMA PG" nr 6(8)/94, 6(17)/95). Wyjątkiem jest I semestr w roku akademickim 1996/97, w którym to odsetek zaliczeń I semestru wyraźnie wzrósł (dane z "PISMA PG" 3(32)/97, 10(39)/97). Sytuacja ta nie dotyczy jednak wszystkich wydziałów.

Na Wydziale Chemicznym, niestety, nadal bardzo wielu studentów otrzymało wpis warunkowy na II semestr, zastało skreślonych lub zrezygnowało ze studiów, mimo corocznego przedłużania czasu trwania sesji i ustalania dodatkowych terminów zaliczeń. Niepowodzenia te obejmują w zasadzie wszystkie przedmioty ściśle wykładane na I roku: matematykę, fizykę i chemię ogólną. Dlaczego tak się dzieje? Na to pytanie można odpowiedzieć bez głębszego zastanawiania się. Z liczby świadectw maturalnych składanych w czasie przyjmowania kandydatów na studia wynika, że liczba oryginałów nie przekracza 10 % wszystkich składanych świadectw. Stąd płynie prosty wniosek: Wydział Chemiczny traktowany jest jako rezerwowy, w razie gdy nie uda się dostać na upragniony kierunek studiów, lub jako "przechowalnia" na rok dla tych, którzy chcą ponownie zdawać na inny kierunek nauki. Jakim studentem chemii może być ktoś, kto wybierał się na psychologię czy prawo? Tylko wybitnie i wszechstronnie utalentowany student poradzi sobie z nawalem materiału ściślego. Ale czy ma on motywację do nauki?

Tę smutną prawdę potwierdza, częściowo, ankieta przeprowadzona wśród studentów studiów magisterskich *biotechnologii, ochrony środowiska i technologii chemicznej* II roku Wydziału Chemicznego. Dlaczego częściowo? Dlatego, że być może bardziej rzetelne byłyby opinie studentów, którym się nie powiodło, ale których już nie ma na uczelni. Natomiast studenci obecnego I roku nie doświadczyli jeszcze wszystkich doznań związanych z zaliczeniami, kolokwiami końcowymi i egzaminami w sesji. Jakże mogliby obiektywnie ocenić przyczyny swoich niepowodzeń, skoro ich jeszcze nie doznali? Przypuszczam jednak, że kłopoty, z jakimi borykają się studenci, dotyczą prawie wszystkich jednakowo. Różnica polega jedynie na tym, czy potrafili sobie z nimi poradzić, czy też nie. Tutaj właśnie może się okazać, że student, który przebrnął przez tą trudną drogę, okaże więcej obiektywizmu niż ten, który sobie nie poradził.

Udział w ankiecie wzięło 84 studentów ze 174 widniejących na listach II roku. Stanowi to 48% ogółu studentów, którzy przebrnęli przez I rok studiów. Trzeba tu zaznaczyć, że jest to elita studencka, ponieważ są to studenci systematycznie uczęszczający na wykłady. Z jakich szkół rekrutują się uczestnicy ankiety? Ogromna większość z nich ukończyła licea ogólnokształcące (90,5%), zwykle o profilu mat.-fiz. lub biol.-chem. Tylko 8,5% ukończyło technika chemiczne i 1% liceum zawodowe (medyczne - 1 osoba). Wynika z tego, że studenci, którzy poradzi sobie na I roku, mieli już sprecyzowane zainteresowania, co zaowocowało samodzielnym podjęciem decyzji o wyborze kierunku studiów (90,5% ankietowanych). Wszyscy ankietowani ocenili się jako uczniowie dobrzy (63%) lub bardzo dobrzy (37%) w szkole średniej. Biorąc pod uwagę, że w naszym społeczeństwie istnieje tendencja do zaniżania własnych osiągnięć, uczniów ocenionych na bardzo dobrze było z pewnością więcej. Rekompensuje to jednak tendencję nauczycieli do zawyżania ocen na końcowym świadectwie, tak że w sumie wynik może być zbliżony do prawdziwego. Z zestawienia procentowego wynika, że nie było oceniających się na dostateczny, chociaż wśród przyjętych na studia byli i tacy. Większość ankietowanych (63%) przyznaje, że chciała studiować na Wydziale Chemicznym, ale wśród pozostałych (37%) aż 3/4 studentów jako pierwszy kierunek wybrało studia na Akademii Medycznej. Widocznie jednak rezerwowy kierunek okazał się również interesujący, skoro zostali i studiują dalej, pomimo że na II roku przybywa pracy.

Najważniejszym punktem ankiety było jednak pytanie o to, co sprawiało studentom największe trudności na pierwszym roku studiów? Zgodnie z przewidywaniem, ankietowani odpowiedzieli, że:

- zaległości ze szkoły średniej (52%),
  - organizacja czasu (44%),
  - systematyczne przygotowywanie się do zajęć (37%),
  - przygotowywanie się do egzaminów (30%),
  - wypowiedzanie się na zajęciach, odpowiedzi ustne (24%),
  - integracja w nowym środowisku (23%),
  - niedostateczny kontakt z prowadzącymi zajęcia (20%).
- Studenci oceniają, że znacznie mniej trudności sprawiły im:
- odpowiedzi pisemne (12%),
  - brak warunków do nauki (12%),

- brak czytania (8%), co jest dziwne przy stosunkowo wysokim procencie trudności w wypowiedaniu się oraz wysokim procencie zaległości ze szkoły średniej,
- samodzielne robienie notatek z zajęć i wykładów (8%),
- oraz inne (8%): zbyt obszerny materiał, trudny materiał, brak czasu, brak zrozumienia u prowadzących zajęcia itp.

Pocieszający jest fakt, że na 33% nie korzystających z konsultacji tylko 20% opowiedziało się za niedostatecznym kontaktem z prowadzącymi zajęcia, choć byli i tacy (kilka wypowiedzi), którzy opowiedzieli się za niedostatecznym kontaktem z prowadzącymi zajęcia, ale nie skorzystali z konsultacji; 67% odpowiadających skorzystało z konsultacji i to głównie z matematyki i fizyki (90%) oraz znacznie mniej z chemii ogólnej i maszynoznawstwa (10%). Czy rezultaty te potwierdzają przypuszczenie, że na konsultacje nie chodzi studenci radzący sobie samodzielnie lub ci, którym w ogóle nie zależy na uzyskaniu dobrych wyników? Myślę, że tak.

Pewne jest, że studentom, którym się powiodło, towarzyszyło głębokie przekonanie o dużym znaczeniu dyplomu ukończenia wyższej uczelni przy podejmowaniu pracy (99% wypowiedzi). Dodatkową motywacją do podejmowania wysiłku jest też ogólnie skryształizowana wizja przyszłości po ukończeniu studiów, do której przyznało się 59,5% ankietowanych (niektóre wizje były bardzo szczegółowe). Nie dało się zauważyć natomiast jakiegoś ścisłego związku między trudnościami w nauce a miejscem zamieszkania. Większość studentów na I roku mieszkała w domu (40,5%), w akademiku (30,5%) oraz w wynajmowanym mieszkaniu (29%). Miało to jednak ścisły związek z wykorzystaniem ewentualnego czasu wolnego. Jakkolwiek ponad połowa (52%) pytanym nie miała czasu na swoje hobby lub rozrywkę, to wśród pozostałych (48%) znakomita większość, to osoby mieszkające w domu lub wynajętym mieszkaniu. Wśród zajęć wymienionych jako odskocznia od studiowania najczęściej pojawiają się: czytanie, kino, sport; rzadziej: teatr, taniec i inne.

Tak więc mieszkanie w akademiku, w dużej społeczności, bardzo zróżnicowanej pod względem społecznym oraz pod względem statusu studenckiego, nie sprzyja spędzaniu wolnego czasu w sposób pozwalający lepiej zrelaksować się i jednocześnie dostarczyć nowych bodźców do pracy.

Tyle wyniki ankiety. **A co mówią studenci zapytani bezpośrednio o przyczyny niepowodzeń na I roku studiów?**

- Większość studentów przeżywa szok psychiczny związany z gwałtowną zmianą metodyki uczenia się, przekazywania wiedzy przez wykładowców, obszernością materiału i tempem jego przyswajania.
- Część studentów na początku przejętych tym, co się dzieje, po pewnym czasie całkowicie sobie "odpuszcza" i zdaje się na los. Z czasem zaległości nakładają się i są już nie do odrobienia.
- Nieumiejętne gospodarowanie czasem, brak chęci do nauki, czyli pospolite lenistwo.
- Niektórzy, wypuszczeni spod kontroli rodziców, odczuwają ogromną potrzebę "wyszumienia się". Udzielają się towarzysko na imprezach studenckich, często zakrapianych alkoholem. Jakże są skutki takiego balowania - nietrudno przewidzieć.
- Wielu studentów nie uczęszcza na wykłady. Powoduje to ich niezrozumienie, nawet jeśli w jakiś inny sposób uzyskali materiał wykładowy.
- Studenci uczęszczający na wykłady uskarżają się na przeładowanie teorią, definicjami (matematyka), które nie są im do niczego przydatne.

- Późne godziny wykładów (po godz. 16), kiedy organizm nie przyswaja już wiadomości.
- Ogólny brak motywacji do przyswajania materiału teoretycznego nie związanego z innymi zajęciami z danego przedmiotu (nie wiedzą, po co się uczą).
- Brak informacji na temat ogólnego celu nauczania danego przedmiotu.
- Zbyt liczne grupy zajęciowe. W dużej grupie trudniej nawiązać kontakt z prowadzącym zajęcia.
- Strach przed zadawaniem pytań w obawie o ośmieszenie się, wyniesiony ze szkoły średniej (studenci sami przyznają, że nie uzasadniony).
- niesprawiedliwy system oceniania, niewspółmierny z nakładem pracy (dotyczy głównie tzw. "zbójów").

#### **Co natomiast mają do powiedzenia nauczyciele?**

- Duża liczba absolwentów szkół średnich nie jest przygotowana do samodzielnego studiowania, nie mają oni pojęcia o obowiązkach i odpowiedzialności wynikającej z podjęcia studiów.
- Szkoła średnia nie przygotowuje swoich absolwentów do podjęcia studiów technicznych, prowadzący muszą dużo czasu poświęcić na wyrównanie wiadomości tak, aby móc realizować dalszy program.
- Niezadowolające skorelowanie treści programowych szkoły średniej z programem szkoły wyższej.
- Olbrzymie braki w wiedzy ogólnej, do której można by się odwołać przy tłumaczeniu zjawisk fizycznych i chemicznych.
- Brak współbrzmienia między różnymi dziedzinami wiedzy (wiedza "poszufladowana").
- Nieumiejętność logicznego myślenia i wyciągania poprawnych wniosków (przy olbrzymiej ilości materiału nie da się wszystkiego wykuć na pamięć).
- Niedostosowanie programu nauczania matematyki i fizyki do potrzeb wydziału.
- Zbyt liczne grupy zajęciowe.
- Z powodu dużej liczby studiujących i braku dużych sal wykładowych, wykłady odbywające się po godzinie 16. nie dają oczekiwanych rezultatów w nauczaniu przedmiotu. Na sali widać ogólne znużenie słuchaczy, a nawet co niektórzy zapadają w drzemkę.
- Słabi studenci nie korzystają z konsultacji, reprezentują tak niski poziom wiedzy, że nie wiedzą, o co pytać.
- Liczni studenci nie pracują systematycznie, nie przygotowują się do ćwiczeń i kolokwium.
- Pokutujący model łatwego korzystania z cudzej pracy (ściąganie, kserowanie notatek z wykładów).
- Generalnie, u studentów brak motywacji do uczenia się, samokontroli i samooceny.
- Brak kultury osobistej u sporej części młodzieży (wulgarne słownictwo, rozmowy na wykładach, spóźnianie się na wykłady, żądaniowy lub lekceważący stosunek do nauczyciela).
- Duże obciążenie dydaktyką, niskie płace, frustracje i napięcia spowodowane niekonsekwentną polityką społeczną i oświatową.

Jakie wnioski wynikają z analizy zgromadzonego materiału źródłowego, w tym uwag przedstawionych przez nauczycieli akademickich i studentów? Jest wiele przyczyn obiektywnych takiego stanu rzeczy. Nie da się np. zwiększyć liczby sal wykładowych bez nakładu dużych środków. Nie rozciągnie się doby tak, aby wszystkie wykłady mogły odbywać się w optymalnych dla pracy organizmu godzinach. Nie można także obniżyć kryteriów oceniania, ponieważ runęłaby cała koncepcja kształce-

nia. Nie można wziąć odpowiedzialności za cudze życie. Nie można za wszelką cenę zatrzymywać studentów na uczelni.

Jest jednak wiele obszarów, w których można jeszcze coś zmienić. Naukowcy zajmujący się problemem edukacji studentów twierdzą, że o pozytywnych wynikach tej edukacji decyduje 5% talentu i 95% pracy nad sobą. Zdyscyplinowany tryb życia studenckiego, wola nieustającego intensyfikowania własnej pracy umysłowej oraz jej rzetelność i systematyczność są stymulatorami nie tylko naukowca, ale i studenta uczelni technicznej. Budujący jest fakt, że wielu studentów osiągnęło sukces poddając się tym surowym wymogom. Żaden człowiek nie zna granicy własnych możliwości, dopóki nie znajdzie konieczność uruchomienia potrzebnych mechanizmów. Im bogatszy zasób wiedzy przechowywanej w zakamarkach pamięci, im częściej musi korzystać z "myślenia", tym lepiej mu to idzie. Pamięć ludzką, spostrzegawczość, myślenie, logiczne wnioskowanie można uaktywnić w każdej chwili życia. Ale jak to zrobić? Profesor W. Wojnowski często powtarza swoim studentom "Konia można doprowadzić do wodopoju, ale napić się musi już sam". Nasuwa się wniosek, że wszyscy nauczyciele biorący udział w procesie dydaktycznym (od podstawówki do szkoły wyższej) powinni wymusić na uczniach, studentach czynny udział w tym procesie, tak aby uczący się był jego współtwórcą.

Zmiany w psychice i postępowaniu studenta i nauczyciela mogą dokonać się wyłącznie w wyniku dużego wkładu pracy własnej, silnej motywacji, systematycznej samokontroli i samooceny bez oglądania się na nowe programy i wytyczne zmieniających się kolejno rządów i ministrów. Nie pomogą nawet najlepsze "wartości", jeśli każdy uczestnik procesu dydaktycznego nie weźmie sam odpowiedzialności za jego skutki. Zaczniemy więc zmiany od siebie samych. Poprawmy w sobie to, co można poprawić. To zadanie trudne, ale nie niemożliwe. Najlepiej od zaraz, krok po kroku. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ruchu rozwoju potencjału człowieka, Stephen R. Covey (autor książki "Siedem nawyków skutecznego działania"), twierdzi: "Rozpoczęcie dnia małym zwycięstwem nad sobą prowadzi do większych zwycięstw".

*Renata Kuczyńska  
Wydział Chemiczny*

## AIIESEC DAY,

**czyli niezapomniana noc samozwańczego wodza  
Szkotów Karpackich, chwilowo kartografa  
i grajka o wątpliwych zdolnościach manualnych,  
Captaina Koowawiacka**

**Z**a siedmioma górami, za siedmioma rzekami, za siedmioma lasami, za siedmioma dolinami, za siedmioma polami, za siedmioma strumyczkami, za siedmioma pagórkami, stał sobie mały domek, tymczasowa siedziba Stowarzyszenia AIIESEC. Pewnego razu, wyłonił się z niego niejaki Henryk K., "Heniem" zwany, rozejrzał się wokoło wzrokiem mętym i niezbyt wyrazistym (zapewne na skutek nadliczbowych godzin spędzonych wewnątrz domku o małej kubaturze) i zrezygnowanym głosem powiedział:

- Kurka wodna (to taki ptak, a nie żadne przekleństwo!), jak my mamy wszędzie daleko! Wypowiedź ta nie przeszła bez echa i co aktywniejsi działacze kółek rolniczych z regionów Pcimia Dolnego w trybie natychmiastowym przystąpili do restruktury-



zacji otaczającej nas rzeczywistości i ustalania wytycznych na następny kwartał.

Dwie herbaty później... gdzieś na kresach zmodernizowanego nieuporządkowania pojawił się ponownie, dobrze wszystkim znany "Heń" i oznajmił:

- Jako postępowy działacz komórki administracyjnej dostrzegam potrzebę zrobienia czegoś nad wyraz konkretnego, aczkolwiek na razie nie mam pojęcia, coż by to mogło być. W niespełna pięć minut później na skutek niesłychanej korelacji przestrzeni międzygalaktycznych, udającego się właśnie do stołówki studenckiej Henryka K. naszedł znieca (żeby nie użyć dosadnego stwierdzenia: "wałnął jak grom z jasnego nieba") pomysł nad wyraz nieziemskiej natury. Lekko zszokowany tak nagłym i zgoła niespodziewanym rozwojem wydarzeń, "Heń" poddał się bezwiednie rozwijającej się przygodzie, rozpoczynając tym samym całkiem nieświadomie ciąg niezwykłych i nieskoordynowanych wydarzeń, które do historii AIIESEC-u i Politechniki Gdańskiej przeszły pod nazwą (tudzież kryptonimem) AIIESEC DAY '97.

No, ale jako doświadczony kronikarz, historyk amator, tudzież skoczek wysokogórski myślę, że wypadaloby zaznajomić wszystkich Czytelników z tym, jak to się wszystko zaczęło...

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami... (wydaje mi się to jakoś dziwnie znajome) gdzieś na terenie uczelni wyższej zwanej dalej Politechniką Gdańską zrodziła się idea, bezpośrednio powiązana z dalszymi losami życia Henryka K. Persona owa mianowana została, na mocy ogólnego zrozumienia (czytaj: decyzję podjął Prezydent Komitetu Lokalnego, nie licząc się z głosami innych) obrana Prezydentem Projektu o nazwie "AIIESEC DAY '97". Korzystając z przywilejów, jakie niósł ze sobą ten zaszczytny urząd, "Heń" dokonując całkiem przypadkowej selekcji, porywał ludzi (ewentualnie studentów) z ulicy i siłą (czytaj: z zastosowaniem łagodnych środków perswazji) wciągał ich w skład Komitetu Organizacyjnego ww. przedsięwzięcia. Tylko dwóch dni potrzebował przypadkowy bohater naszej opowieści, na przerobienie bezkształtnej masy pełnej dobrych chęci w sprawny mechanizm o wysokiej wydajności manualno-intelektualnej. To nad wyraz śmiałe posunięcie zaowocowało 13 listopada roku pańskiego 1997, kiedy to w Gmachu Głównym Politechniki Gdańskiej członkowie Stowarzyszenia AIIESEC, pod przewodnictwem Henryka K. przystąpili do realizacji chorych wizji Kierownika. Kiedy kuranty wybiły godzinę 9.00 nastąpiło oficjalne otwarcie imprezy, z pompą należną tego rodzaju wielkim przedsięwzięciom. Tłumy ludzi, które przybyły zobaczyć, czymże jest ten AIIESEC i dlaczego jest tym czym jest, były isticie nieprzebrane i przeszły nawet



najsmielsze wyobrażenia organizatorów. Program imprezy przewidywał działania dwupoziomowe, które realizowane były z nad wyraz gorliwą skrupulatnością. Na poziomie bardziej zaawansowanym technologicznie (czytaj: na II piętrze, w sali 300) odbywały się kolejno prezentacje: AIESEC-u, firm "DynaMind" i "ABB Zamech Ltd" oraz wydawnictwa informatycznego "Helion". Poziom merytoryczny tych prezentacji był wysoki (może nie wszystkich, ale nie mnie to oceniać jako obiektywnemu kronikarzowi z gołębiem serduszkim), na co niemały wpływ miało zapewne usytuowanie sali 300 na dość wysokim pułapie architektonicznym. Jednocześnie na parterze (to takie zapaśnicze określenie poziomu dolnego, tużprzymatowego) członkowie AIESEC-u, koordynowani (czytaj: poganiani i delegowani do najbardziej niewdzięcznych zadań) przez Henryka K., w pocie czoła starali się sprostać oczekiwaniom rozszalałej gawiedzi, rozdając na lewo i prawo materiały promocyjne Stowarzyszenia, informacje o najbliższych projektach

oraz całe setki (ba, tysiące!) Plenerów Akademickich na rok 1998, które ze względu na dość przystępną cenę 0,00 PLN, rozchodziły się jak świeże bułeczki. Ponadto na tym samym poziomie abstrakcji swoje materiały udostępniały jeszcze firmy "DynaMind" i "Helion". I w momencie, w którym przeciętnemu Czytelnikowi zdać by się mogło, że to już koniec atrakcji, z beźmiaru chaosu wylania się jeszcze jedna niespodziewanka. Otóż na AIESEC DAY-u można było zakosztować nie tylko strawy informacyjno-psychokinetycznej, ale i czysto organiczno-fizykochemicznej, w postaci soków i napojów wszelkiej maści (no nie, maści to tam nie było!), które to oferowali przedstawiciele firmy EKO POL. Jednym słowem było pysznie i edukacyjnie. Dzienna część imprezy dobiegła końca około (lub okwadrat) godziny 15.03, kiedy to wszyscy uczestnicy i organizatorzy udali się do swoich łóżeczek... nie, to nie ta bajka! Zasadniczo było trochę, całkiem, zupełnie inaczej, tzn. całe grono organizatorów z radością przystąpiło do porządkowania resztek Gmachu Głównego, które zostały się po przetoczeniu przez nie milionów zainteresowanych ideologią i działaniami AIESEC-u. Jednak słońko nie chyliło się jeszcze ku zachodowi, a i dzień przed ekipą Komitetu Organizacyjnego zdawał się jeszcze długi i pełen pracy. Kiedy kuranty... posnęły po wyczerpującym dniu pracy... everybody udali się do budynku "Kwadratowej", gdzie w duchu międzygalaktycznego porozumienia bawili się do upadłego na nocnej części imprezy o nazwie AIESEC NIGHT. Było głośno i zapewne fajnie, a kiedy kuranty zbudziły się ze snu, usatysfakcjonowani pomyslnym rozwojem wydarzeń wszyscy rozeszli się do domów. Tako rzekłem! Howgh!...

*Jarosław Buliński  
Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii*

## KANAPKA Z MIELONKĄ

**D**awno, dawno temu, w odległej galaktyce ... Słońce powoli chyliło się ku upadkowi, nieporuszenie zmierzając za horyzont. Być może ludziło się, że akurat tego dnia uda mu się trochę odpocząć. Jednakże, jak było to do przewidzenia, na podstawie 10000000000000000... poprzednich, wcale nie odosobnionych przypadków, i tym razem nie udało się. No cóż, nie pozostało mu nic innego, więc westchnąwszy cichutko udało się na dalszą monotonną wędrówkę po bezkresnym wszechświecie (dla dobra czytelników, aby uniknąć zbędnych nieporozumień zdecydowałem się nie korzystać ze słowa Galaktyka)...

Jednym słowem, unikając romantycznych uniesień, nie burząc jednocześnie całej przyszłej koncepcji utworu, a jednak trzymając się wszelkich form realizmu, można by pokrótce powiedzieć: "Nadchodził zmierzch"...

Tymczasem, utrudzony codzienną, monotonną egzystencją bohatera, Captain Kooyawiack nieubłaganie pomykał w siną dal. Drzewa cicho szumiały, kojąc zmysły zmęczonego sławą podróżnika. Romantyczny śpiew ptaków wygasł powoli, niczym kip wrzucony do miski z wodą. Las pogrążał się w milczeniu...

- "Cześć! Kto idzie na obiad?" - głos dziwnie znajomy wyrwał mnie z twórczego letargu.

- "Chudy"! Nie teraz!" - odparł rozdrażniony najwyraźniej bohater naszej opowieści.

- "To ja przepraszam!" - rzekł Adam S. (tu gwoli wyjaśnienia pozwoliłem sobie wtrącić swoje trzy grosze, aby wszem i wobec oznajmić, że "Chudy" i Adam S. to ta sama persona) i znikł.

Pokrzepiony ogólną atmosferą zrozumienia i miłości panującą w tym kielkującym co dopiero opowiadaniu, z ochotą zabrałem się do dalszej wyteżonej pracy umysłowej i fizycznej. Umotywowany niezmiernie (chciałoby się rzec: Galaktycznie) Captain Kooyawiack z ochotą zabrał się do przebierania nogami, czynności znanej wszystkim pod hasłem "podróżowanie, wędrówka". Nie oglądając się za siebie, z sercem przepelnionym ogólnoswiatowym rozumieniem kulturowym, podążyłem nieść światu pokój i wizję międzynarodowej współpracy. Z rozważań nad tym globalnym problemem wyrwał mnie śpiew precydu, który ani przez chwilę nie pozostał obojętny memu sercu. Mój umysł, bynajmniej analityczny, podjął się dziarsko wnikliwej oceny zaistniałej sytuacji. Opierając się na intuicji, która, wykorzystywana wielokrotnie, jeszcze nigdy mnie nie zawiodła, podążyłem w kierunku, skąd dobiegał ów głos. Idąc zastanawiałem się (tu proszę zwrócić uwagę na niebanalną dwudzielność mego ciała i umysłu), ktoż może być jego właścicielem: syrena czy fiat 126 p? Prawda okazała się jednak diametralnie inna. Na środku sadzawki, która ukazała się mym oczom, ujrzałem raźnie płasającą Danutę K., w kręgach zarządzających Urzędem Nimf Jeziornych i Sadzawkowych znaną jako "Danka". Niewiasta owa zakreśliła dwa szalone piruety,

posłała mi jeden czarujący uśmiech i ... znikła. Cholerny świat, pomyślałem (tu nie bez kozery zwracam uwagę, jak często w tym opowiadaniu posługuję się umysłem) i zmieniłem stosunek do otaczającej mnie rzeczywistości. Cóż miałem począć, biedny sierotka. Ruszyłem niezwłocznie w dalszą drogę, która nie wydawała mi się już taka łatwa i prosta (tak między nami mówiąc, to była pełna zakrętów). I gdy tak przemierzałem zalesiony płaskowyż bezdennej głupoty, z krzaków wyskoczył na mnie rozwścieżony MIS (wśród okazów fauny scytyjskiej znany jako Adam K.). Choć posturą i uśmiechem nader szczerym ów gatunek odzwierciedlał, to jednak w materii kryminogennej czuć go było amatorszczyzną. Wykorzystując podręczną broszurę "Podstawy ogólne magii niekonwencjonalnej" rzuciłem w napastnika zaklęcie "format c:" i z założenia groźny zwierz zatracił zupełny kontakt z rzeczywistością. Z uśmiechem na ustach, z ustami na twarzy udałem się ... cholera wie gdzie, gdyż wytyczne od narratora tejże opowieści nie dotarły do mnie w porę. Jednakże w duchu dobrze pojętego patriotycznego obowiązku zdecydowałem się zrobić coś dla uatrakcyjnienia popadającego w chore schematy opowiadania. W końcu Captain Kooyawiack nie na darmo jest herosem międzykomitetowym. Nasunawszy na oczy beret haftowany w motywy kaszubskie zerknąłem ukradkiem na zegarek. Była za pięć w pół do za piętnaście jedenasta do dziesiątej. Zaczynało padać. Pierwsze arbuzy z radosnym "glups" uderzyły o ziemię, a ideał sięgnął bruku. Niby nic, aż tu nagle ... tuż zza zakrętu (swoją drogą skąd w tej opowieści, bez uprzedniego porozumienia ze mną, wziął się jakiś zakręt) z piskiem wyskoczył smok (tu wskazane jest unikanie jakichkolwiek skojarzeń ze Smokiem z UG), jakiś potworny z przedziwnym logiem (tu warto wtrącić, że to kolejne slangowe określenie, które dla zachowania spójności tematycznej, właśnie w tym miejscu zaistnieć musiało) na czole. Nie wiem, czy to wzrok mój sokoli, czy też słynna już intuicja (nie odstępująca mnie jakoś na krok) pozwoliły mi odczytać imię potwora na logu owym skreślone. Choć biolog ze mnie zapalony, zwierza takiego w żadnej księdze nie uświadczylem. Więc tu, drogi czytelniku, wybac mi, że nie zaspokoje do końca twojej nienasyconej ciekawości i nie przytoczę z jakiego gatunku wywodzić się raczył. Imię jego było "Porsche". Panem owego monstrum okazał się niejaki Piotr Sz. "Szczepansem" zwany. Jegomość ten, odznaczający się dużą witalnością, dostąpiwszy zaszczytu skorzystania z używki tytoniowej wspomaganą nadsiarczynem zapalki przyjął mnie z życzliwością konających trampek. W sekrecie wyjawiał mi (tu zaznaczam, że dla herosów międzykomitetowych "sekret" to pojęcie czyste i wyłącznie symboliczne), że ma zamiar wyzwać na pojedynek zacnego Tomasza M. z Ziem Elbląskich rodem (tu spieszę z wyjaśnieniem, że pan ten również posiadał mistyczne zwierzę o imieniu "Honda"), aby przejąć jego stanowisko, w sposób aczkolwiek zgodny z prawem i wielowiekową tradycją. Etyka zawodowa wymagała, abym nie wnikał głębiej w temat i nie poruszał być może drażliwych kwestii, toteż zwróciwszy się na pięcie (posławszy uprzednio memu rozmówcy standardowy uśmiech skatalogowany jako pozycja 1435) szybko pomknąłem w błogi niebyt.

Nie jestem pewien, czy wykorzystałem załamanie czasoprzestrzenne, czy być może rozległą płaszczyznę transdekacyjną, jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że oto stoję przed wrotami ze znanym mi skądinąd napisem "AIESEC". Bez wahania nacisnąłem klamkę. Zalał mnie blask niebiański (jak się potem dowiedziałem, ktoś wymienił jarzeniówki na nowe) w wyniku czego potknąłem się i w konsekwencji uderzyłem

rzesami o klamkę, a moja lewa małżowina przyssała się do listwy progowej. Gdy oczy moje przyzwyczyły się do jasności (słowo "jasność" wypada korzystnie w aspekcie sekciarsko-religijnym, dlatego też pozwoliłem je tu sobie przytoczyć) ujrzałem osobę niewątpliwie dojrzałą, tylko nie wiem do czego, bo farmer ze mnie nijaki. Wszyscy wokół wołali na nią "Brenda" (jednak mój nieustępliwy charakter poszukiwacza pozwolił mi później ustalić, iż była to Agnieszka T. "Brendą" tylko zwana, ze względu na dźwięczność hasła owego). Kapłanka ta, która w sekcje cieszyła się najwyraźniej dużym szacunkiem uświadomiła mi, że AIESEC to organizacja powstała w wyniku kolinearno - okultystycznej zbieżności przestrzeni synfazowo - paranomazyjnych półkul mózgowych paru studentów z Brukseli znajdujących się w zasięgu interpolacyjno - matematycznej fali czasoprzestrzennej. Poruszony do głębi tą wstrząsającą próbą samookreślenia się zwróciłem wzrok swój na gościa, który chyba urwał się z choinki i nigdy do niej nie powrócił. Z miejsca zdobył on moją sympatię miną radosną, zwiastującą lepsze jutro. Umysł tego mężczyzny (tu podkreślam, aby wszyscy świadomi byli, że osobnik ten jest z rodu męskiego) - Pawła W. znanego jako "Paulina", promieniał wizją twórczą, a otaczająca go aura psychodelicznych wynaturzeń sprawiła, że w mig stał mi się bratem. Razem pograżyliśmy się w nowej Karton Reality, gdzie - zabawiając się w najlepsze zestawem sucharków śniadaniowych - oczekiwaliśmy nadejścia poranka.

I oto kolejny letni ranek. Słońce w znaku Bliźniąt leniwie wyglądało zza horyzontu. Po raz kolejny zawiodła meteorologiczna propaganda. Dzień zapowiadał się wspaniale. Tymczasem umęczony trudami podróży, po kolejnych wersach zawilej psychologicznie opowieści, Captain Kooyawiack udał się właśnie na zasłużony odpoczynek (aby w objęciach snu oddać się błogiemu nieróbstwu) ...

**Captain Kooyawiack**

**transcendentalne wcielenie chmurki gazowej**

*Jarosław Buliński*

*Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii*

## TWÓRCZOŚĆ

przez płot  
do ogródka  
położyć się na trawie  
i poudawać sen  
potem wrócić  
skłamać, że się śniło  
skłamać cokolwiek  
być poklepanym po ramieniu  
i usłyszeć niecierpliwie:  
"No koleś - opowiadaj"

*Lukasz Konopka*

*Student Wydziału Elektroniki,  
Telekomunikacji i Informatyki*

# WALENTYNKI - skąd wzięła się ta tradycja?

Było kilku męczenników chrześcijańskich, którzy nosili imię Walenty. Jeden z nich zginął 14 lutego 270 r., podczas prześladowań za panowania cesarza Klaudiusza II. Właśnie ten dzień wybrał Kościół dla upamiętnienia swego kapłana-męczennika. W 350 r. jego imię otrzymała rzymska bazylika. Z czasem dzień św. Walentego zaczęto traktować jako święto zakochanych, a jego samego jako ich patrona.

Nie ma jednoznacznego wyjaśnienia genezy dnia św. Walentego jako Święta Zakochanych (*Lovers' Day*). Niektórzy autorzy wskazują na zbieżność tego dnia z rzymskimi Luperkaliaми. Święto to obchodzili Rzymianie prawdopodobnie 15 lutego. Jednym z głównych punktów uroczystości było składanie ofiar dla bożka Fauna w grocie Luperkal na rzymskim Palatynie, gdzie - zgodnie ze starą tradycją - wilczyca karmiła Romulusa i Remusa. Ofiary te miały zapewnić płodność ludziom, polom i stadom. Na zakończenie obrzędów kapłani uderzali przechodniów rzemieniami zrobionymi ze skóry zabitego na ofiarę kozła. Rytuał ten traktowano jako oczyszczający od grzechów; kobiety miały także zabezpieczać przed bezpłodnością.

Niektórzy autorzy dodają, że Luperkalia odbywały się pod patronatem bogini miłości Wenus, a może także Junony (małżonki Jowisza). W trakcie tych uroczystości młodzi wybierali sobie partnerów, składali oświadczenia itp. Gdy cesarze rzymscy przeszli na chrześcijaństwo, tradycja została utrzymana, ale Wenus jako patronkę miłości zastąpił św. Walenty.

Podawanych jest tu kilka wyjaśnień: 1. Gdy św. Walenty oczekiwał w więzieniu na śmierć, miał przekazać potajemnie list do córki strażnika więziennego, zakończony słowami: "Od Twojego Walentego"; 2. Św. Walenty wyleczył ową córkę ze ślepoty; 3. Był on przyjacielem małych dzieci, które wrzucały do jego celi liściki zapewniające go o ich miłości do niego.



W średniowieczu św. Walenty uważany był za pocieszyciela kochanków, których związek nie może zostać spełniony. Źródła z XIV wieku podają, że w tym dniu kochankowie wymieniają dowody miłości - drobne upominki i listy. Niektórzy autorzy podają, że święto to wiąże się ze staroangielskim wierzeniem, iż ptaki tego właśnie dnia łączą się w pary. W 1969 r. obchody tego święta zostały usunięte z kalendarza liturgicznego.

W krajach zachodnich, zwłaszcza anglojęzycznych, utrwalił się zwyczaj wysyłania przez zakochanych okolicznościowych kartek, zwykle z wierszykami o romantycznej lub zabawnej treści, nazywanych **walentynkami** (*valentines*). Słowo to oznacza także adresata (-tkę) takiej kartki (por. *Be my valentine!* - Bądź moją walentynką!), przy czym nadawca pozostaje często anonimowy. Liczba otrzymanych walentynek świadczy o atrakcyjności danej osoby, upewniając ją w przekonaniu, że ma w kim wybierać.

W naszym kraju moda na Dzień Zakochanych (*Lovers' Day*) pojawiła się dopiero w ostatnich latach, wraz z falą "amerykanizacji i europeizacji" naszego życia. Przedtem mieliśmy jedynie "Walentyna twist" w wykonaniu Filipinek, ale przebój ten nie miał żadnego związku z poruszanym tu tematem.

Propagowaniem dnia św. Walentego zainteresowane są najbardziej firmy produkujące okolicznościowe kartki i inne gadzety z serduszkami przebitymi strzałą, złożonymi do pocałunku usteczkami itp. Najbardziej wyczekują go jednak wszyscy ci, którzy mają nadzieję, że tego właśnie roku listonosz przyniesie im pełną torbę walentynek.

I tego też życzą wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom "Pisma PG" Zespół Redakcyjny oraz autor -

Stefan Zabieglik  
Wydział Zarządzania i Ekonomii

## Humanistyczne zainteresowania studentów Politechniki Gdańskiej

W ramach przedmiotu obieralnego na V roku Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki wielu studentów uczęszczało w semestrze zimowym 1997/98 na prowadzone przeze mnie zajęcia z przedmiotu *Historia cywilizacji europejskiej*. Kilkunastu słuchaczy przygotowało interesujące referaty, które świadczą, że inżynierowie - absolwenci Politechniki Gdańskiej mogą mieć również szerokie horyzonty intelektualne, nie ograniczające się jedynie do ich specjalności. O różnorodności zainteresowań studentów uczęszczających na te zajęcia świadczyć mogą chociażby tytuły wspomnianych referatów. Dla przykładu wymienię kilka z nich: "Rozwój nauki i jej wpływ na człowieka"; "Pierwsze osiem wieków chrześcijaństwa"; "W glorii i sławie, w pocie i krwi - czyli europejscy zdobywcy na Bliskim Wschodzie w dobie krucjat"; "Myśl filozoficzna i teologiczna w Cesarstwie Bizantyjskim"; "Rozwój chrześcijaństwa w czwartym stuleciu"; "Chrześcijaństwo a upadek Cesarstwa Rzymskiego"; "Geneza i historia mitu arturiańskiego"; "Szkolnictwo europejskie w XVII i XVIII wieku"; "Moralność i pojęcia <człowieka dobrego> na podstawie eseju F. Nietzschego *Z genealogii moralności*".

Z okazji przypadającego w lutym Dnia Zakochanych proponuję Czytelniczkom i Czytelnikom "Pisma PG" lekturę referatu Roberta Kwasigrocha, studenta V roku Wydz. ETI (kierunek: telekomunikacja, specjalność: sieci i systemy telekomunikacyjne). Myślę, że poniższy tekst mógłby stanowić sensowny głos w kontekście swoistego zamieszania, jakie powstało u nas ostatnio w związku z tzw. wychowaniem seksualnym.

Stefan Zabieglik  
Wydział Zarządzania i Ekonomii

# Czy miłość jest sztuką?

## Próba odpowiedzi na podstawie książki Ericha Fromma *O sztuce miłości*

*"Nie ma sprawy, którą byśmy podejmowali z takimi nadziejami i tak pełni oczekiwania, a która zawodzi z taką regularnością jak miłość"*

Erich Fromm

**E**rich Fromm (1900-1980) - urodzony w Niemczech amerykański psychoanalityk i myśliciel zajmujący się filozofią społeczną, badający oddziaływanie pomiędzy jednostką i społeczeństwem. Stosując zasady psychoanalizy starał się on znaleźć remedium na różne negatywne zjawiska społeczne, zwłaszcza te charakterystyczne dla cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Wierzył on, że w ten sposób ludzkość mogłaby dojść do ukształtowania "zdrowego społeczeństwa" (*sane society*).

W swojej książce *O sztuce miłości* Fromm zadaje pytanie dotyczące najważniejszego w życiu każdego człowieka uczucia - "Czy miłość jest sztuką?". Podejmuje próbę uświadomienia czytelnika, że miłość pojmowana przez ogromną większość współczesnych ludzi jako przyjemne uczucie, którego zaznanie jest sprawą przypadku ("coś, co się zdarza, jeśli człowiek ma szczęście"), to w rzeczywistości sztuka. Ta zaś, podobnie jak inne sztuki (malarstwo, muzyka itp.), wymaga wiedzy i wysiłku. Odwołując się do historii człowieka współczesnego, autor szuka przyczyn takiego pojmowania, przedstawiając czytelnikowi te, które są według niego decydujące.

*Po pierwsze, większość ludzi postrzega sens tego uczucia w byciu kochanym, a nie w tym, aby kochać samemu.* Na pierwszy plan wychodzi wzbudzenie uczuć u innych, a nie samodzielna umiejętność kochania. Większość poczynań służy zdobywaniu szeroko rozumianego powodzenia, przy zastosowaniu do tego celu różnorodnych metod. Te same zabiegi, jakie mają prowadzić do zdobycia czyjejs miłości, używane są do zdobywania sobie przyjaciół, ludzi wpływowych, dzięki którym możemy odnieść korzyści.

*Po drugie, rozpowszechniony jest pogląd, że miłości nie można się nauczyć, że problem polega nie na zdolności do kochania (kochać to rzecz prosta i każdy może jej doświadczać), ale na znalezieniu odpowiedniego obiektu swoich uczuć.* Przyczyn tego upatruje Fromm w historii naszej cywilizacji. W przeszłości bowiem miłość była utożsamiana ze spontanicznym uczuciem, a związki małżeńskie zawierano na zasadzie umów, za porozumieniem stron (rodzin) kierujących się względami praktycznymi (zamożność) i społecznymi (pozycja społeczna). Model ten w większości krajów zaniknął w naszym wieku. Zastąpił go model miłości romantycznej, uwypuklający ważność obiektu miłości w stosunku do funkcji, jaką pełni związek dwojga kochających się osób. Fromm upatruje przyczyny takiego stanu rzeczy we współczesnej rzeczywistości, która opiera się na żądzy kupna. Ludzie kierują uczuciami zazwyczaj ku takiemu "towarowi" ludzkiemu, który mogą zdobyć, biorąc pod uwagę własne możliwości wymienne, tzn. obiekt powinien być pożądanym z punktu widzenia warunków społecznych, a jednocześnie chcieć nas, ceniąc nasze możliwości i zalety. Płyne stąd więc jasny wniosek, że w dziedzinie miłości, stosunki międzyludzkie podlegają takiemu samemu schematowi, jaki rządzi szeroko rozumianym rynkiem.

*Po trzecie, jedną z głównych przyczyn błędnego myślenia współczesnych, dotyczącego nauki miłości, upatruje Fromm w pomieszaniu początkowego uczucia zakochania ze stałym stanem kochania.* "Zwariowanie" na czymś punkcie uważamy za dowód potęgi własnej miłości, podczas gdy może ono świad-

czyć jedynie o tym, jak bardzo byliśmy przedtem osamotnieni. Pogląd ten stanowi kontynuację myśli autora wyrażonej w "Ucieczce od wolności", gdzie ukazał on osamotnienie współczesnego człowieka zagubionego w codziennej rzeczywistości.

"Nie ma sprawy, którą byśmy podejmowali z takimi nadziejami i tak pełni oczekiwania, a która zawodzi z taką regularnością, jak miłość". Teza ta, stanowiąca motto niniejszego artykułu, wskazuje na fakt określany przez Ericha Fromma jako "jeden z największych paradoksów w historii człowieka". W każdej innej dziedzinie - zauważa on - ludzie robiliby wszystko, aby dowiedzieć się, jakie są przyczyny ich niepowodzeń, szukaliby rozwiązań, chcieli uczyć się, jak postępować dalej, lub też zniechęceni zaniechali nieskutecznego postępowania. W przypadku miłości, to ostatecznie rozwiązanie nie wchodzi zwykle w grę. A jednak mało kto dopuszcza myśl, że istnieje coś, czego w sprawach miłości trzeba się nauczyć.

W przeciwieństwie do takiego obiegowego podejścia, Fromm uważa, że jedynym skutecznym sposobem uniknięcia niepowodzenia w miłości jest badanie istoty tego uczucia. W tym celu rozpoczyna on od sformułowania podstawowych założeń i twierdzeń swego systemu antropologii filozoficznej.

Od chwili swych narodzin, kiedy to - jako noworodek - zostaje wytracony z sytuacji ściśle zdeterminowanej, człowiek coraz usilniej szuka wolności i niezawisłości. Proces wychowania ma jednak dwa aspekty. Pierwszy polega na tym, że w toku swego rozwoju dziecko wzmacnia się fizycznie, uczuciowo i umysłowo. Kształtuje się zorganizowana struktura, kierowana wolą i rozumem jednostki. Gdyby tę zorganizowaną i zintegrowaną strukturę nazwać "ja", można byliby powiedzieć, że wraz z narastaniem procesów indywidualizacji rośnie poczucie własnej siły. Drugi aspekt procesu wychowania, to wzmagająca się samotność. Pierwotna więź z matką zapewnia bezpieczeństwo i podstawową jedność ze światem zewnętrznym. W miarę jak dziecko wyłania się z tego świata, uświadamia sobie swoje własne "ja", ale także fakt, że jest samo, że stanowi istotę wyodrębnioną spośród wszystkich innych. To odseparowanie od świata, który - w porównaniu z własną jednostkową egzystencją - jest czymś przytłaczająco silnym i potężnym, często też groźnym i niebezpiecznym, rodzi uczucie niemocy i jest źródłem wszelkiego niepokoju. Jednostka za wszelką cenę pragnie uwolnić się z więzienia, jakim jest uczucie samotności, zjednoczyć się w jakiejś formie z otaczającym światem zewnętrznym, z innymi ludźmi.

Historia ludzkiej cywilizacji jest pełna jednego, ciągle powracającego pytania: jak przezwyciężyć samotność? Zawsze, niezależnie od czasu i kultury, człowiek stawał przed takim dylematem, gdyż wypływa on z warunków ludzkiego istnienia. Zdaniem Fromma, tak naprawdę liczba odpowiedzi jest tu niewielka. Jeżeli pominąć szczegóły nie dotyczące istoty pytania, odpowiedzi te są zbliżone i zapisane w historii wszelkich religii i filozofii, dostarczających różnorodnych rozstrzygnięć tego dylematu. Zależą one w głównej mierze od stopnia indywidualizmu osiągniętego przez jednostki.

Jeśli potraktujemy rodzaj ludzki jako całość, to na początku cywilizacji odpowiedzi na postawione wyżej pytanie, dotyczące przezwyciężenia samotności, szukano w zespoleniu się z naturą, utożsamianiu z ziemią, roślinami czy zwierzętami. Wyrażało się to m.in. poprzez noszenie masek zwierzęcych,

uzależnianie się od niezliczonych bożków, oddawanie czci "magicznym" przedmiotom i zjawiskom, czczenie zwierząt-bogów. W ten sposób odnajdywano swoje miejsce w rzeczywistości.

Wraz z uniezależnianiem się od sił przyrody świadomość więzi z nią ulegała zmianie. W miarę postępowania tego procesu coraz silniej występowała potrzeba szukania nowych odpowiedzi. Za najbardziej szkodliwą z nich uznaje Fromm potrzebę ucieczki w - jak to określa - stany orgiastyczne.

Jedną z takich form ucieczki widzi on w dążeniu człowieka do przeżywania stanu transu osiąganego różnymi drogami, np. za pomocą narkotyków czy alkoholu. Droga ta była znana już szczerpemu pierwotnym, które obrzędy takie praktykowały w grupach (bardzo często obejmujących całe plemiona). W ten sposób osiągnano stan stopienia się z całą grupą, przez co zniknęło poczucie własnej odrębności. Podobny stan przeżywany jest podczas transu narkotykowego, gdzie w krótkotrwałym momencie uniesienia znika świat zewnętrzny.

Co ciekawe, autor uważa, że także doznania seksualne są bardzo zbliżone do stanów orgiastycznych. Orgazm seksualny może wytworzyć stan zbliżony do transu, co także stanowiło element wielu pierwotnych obrzędów i dawało opisywane wcześniej efekty. Trzeba jednak zwrócić uwagę na krótkotrwałe działanie tej metody, co powoduje, że uczucie niepokoju wraca i koniecznością staje się powtórzenie obrzędu, a w konsekwencji dochodzi do uzależnienia. Jest jeszcze inna wada tej "metody". Rozwój cywilizacji sprawił, że przeżywanie stanów orgiastycznych przestało być wspólną praktyką. Żyjemy bowiem w kulturach "nieorgiastycznych", gdzie praktykowanie tego typu zachowań prowadzi do powstania stanu głębokiego poczucia winy i wyrzutów sumienia. W ten sposób, paradoksalnie, zamiast odczuwania zespolenia z ogółem, odczuwamy brak zespolenia, zapadając w stan odosobnienia i braku akceptacji, której szukaliśmy. Także dążenie do transu seksualnego, jako metody ratunku przed niepokojem zrodzonym z osamotnienia, prowadzi do podobnego niepowodzenia, zwiększającego się poczucia izolacji. Fromm uważa bowiem, że sam akt seksualny, któremu brak zaangażowania uczuciowego, "nie może przerzucić mostu nad przepaścią dzielącą dwoje ludzi", chyba że na krótką chwilę.

Z powyższych rozważań wynika, że wszystkie stany orgiastyczne są krótkie i okresowe, silne i gwałtowne, oraz obejmują całą psychikę i osobowość jednostki

Kolejna forma ucieczki od osamotnienia polega - zdaniem Fromma - na dostosowaniu się do jakiejś grupy, do jej zwyczajów, praktyk i wierzeń. Podobnie jak w przypadku innych form kulturowych, zmieniały się one wraz z rozwojem cywilizacji, ale ich istota i cel zostały te same. W miarę rozwoju kulturowego grupy powiększały się - jednostka była członkiem wspólnoty jaskiniowej, klanu, plemienia, aż do stanu obecnego, kiedy to ludzie są mieszkańcami miast, obywatelami państwa czy członkami Kościoła. Wszystko to jest podyktowane jedną chęcią: zespolenia z innymi, mającego na celu odsunięcie lęku przed odosobnieniem. Działania takie najczęściej są tak głęboko zakorzenione w człowieku, że nie zdaje on sobie z nich sprawy, dostosowując się podświadomie, przy jednoczesnym zachowaniu swojej odrębności na niewielkim polu.

Fromm zauważa, że metoda ta jest - jak i poprzednia - najczęściej nieskuteczna, co widać w naszej codziennej rzeczywistości. Ludzie stają się - jak to określa autor *O sztuce miłości* - "ośmiogodzinowcami", stanowią siłę roboczą. Niezależnie od pozycji w hierarchii, wszyscy wykonują czynności wyznaczone przez zasadę organizacji pracy. Współczesne życie przesiąknięte jest rutyną, zarówno w dziedzinie pracy, gdzie z reguły nie

ma miejsca na jakąkolwiek inicjatywę, jak i rozrywki. Tylko pozornie jesteśmy aktywnymi członkami grupy jako jednostki. Tak naprawdę, nie ma mowy o jakiegokolwiek indywidualności, nikt nie zauważa naszego "ja", przez co uczucie odrzucenia i samotności wraca do nas jak przysłowiowy bumerang. Zjawisko to tłumaczy - zdaniem Fromma - nie tylko fakt zaakceptowania przez naród niemiecki nazizmu, ale także akceptację wszelkich totalitaryzmów. Gdy masy ludzkie czują się bezsilne i niepewne, stają się podatne na wszelkie ideologie. Wtedy łatwo dają sobą manipulować, za cenę pozornego zainteresowania i akceptacji, odnalezienia siebie w otaczającym świecie. Według Fromma, systemy totalitarne były konsekwencją rozwoju naszej cywilizacji. W rezultacie, okazały się one odpowiedzią na znaki czasu, a społeczeństwa - jakby to absurdalnie nie brzmiało - musiały do nich "dojrzeć".

Myślę, że w odniesieniu do czasów obecnych Fromm mógłby zastosować swe rozumowanie przy analizie różnorodnych sekt, których mechanizm oddziaływania na współczesnych nam ludzi w pełni pokrywa się z opisanymi wyżej metodami. Rodzi się tu jeszcze jedna refleksja: czy ludzie potrafią uczyć się tylko na własnych błędach? Czy historia musi się powtarzać?

Autor *O sztuce miłości* wyróżnia jeszcze jeden sposób ucieczki przed samotnością. Jest nim **przynosząca satysfakcję praca twórcza**. Twórca (artysta, uczony, budowniczy itp.) zespała się ze swoim twórczym, odnajdując w ten sposób wewnętrzny spokój i satysfakcję. Zdaniem Fromma, proces ten dokonuje się jednak często tylko w sferze osobistych przeżyć i doznań, nie umożliwia więc pełnej realizacji zakorzenionego w nas poczucia zespolenia z ludźmi. Tak więc, również tutaj - podobnie jak dla naszkicowanych wyżej form ucieczki - uzyskany efekt jest tylko częściowy

Omawiany autor znajduje jednak taką formę ucieczki, która - jego zdaniem - daje pełną satysfakcję, poczucie zespolenia z innym człowiekiem, osiągnięcia tego najpotężniejszego z pragnień, **jakim jest zjednoczenie się z innym człowiekiem w miłości**. Przestrzega jednak Czytelnika, że to ostatnie pojęcie może być szeroko rozumiane.

Jedną z odmian miłości jest, na przykład, **miłość symbiotyczna**. Pod pojęciem tym autor rozumie istnienie psychologicznej więzi podobnej do biologicznego modelu pomiędzy kobietą a jej płodem. Stanowią dwie osoby, a są jednym. Żyją razem w symbiozie, potrzebując się nawzajem. Trzeba przy tym zauważyć, że miłość symbiotyczna charakteryzuje się dwoma formami zachowania: masochistycznym (podporządkowanie) i sadystycznym (dominacja). Pominę szczegóły tych zachowań, gdyż są one kontynuacją myśli autora zawartych w książce *Ucieczka od wolności*, której poświęciłem osobny referat.

Przeciwieństwem tak rozumianej miłości jest **miłość dojrzała**, uwarunkowana zachowaniem integralności człowieka. To jest właśnie odpowiedź Fromma dotycząca tego powtarzającego się pytania: jak przezwyciężyć samotność? Ten rodzaj miłości pozwala - jego zdaniem - na przebicie się przez "mury" oddzielające nas od innych, na przezwyciężenie uczucia samotności i osamotnienia, dając zarazem poczucie własnej wartości, satysfakcję, zachowanie własnego "ja". W ten sposób - jak mówi Fromm - "urzeczywistnia się paradoks, że dwie istoty, stając się jedną, pozostają mimo to dwiema osobami". Do takiej formy miłości może się jednak wznieść tylko ten, kto uświadomi sobie, że miłość jest sztuką. Trzeba się jej uczyć tak samo, jak każdej innej. Trzeba znać zarówno jej teorię, jak i opanować praktykę. Konieczne jest świadome działanie, zdawanie sobie sprawy z motywów oraz celu działania.



Fromm uważa, że podstawową cechą miłości dojrzałej jest działanie, a nie bierne doznawanie. Czynna miłość charakteryzuje się potrzebą dawania, a nie konsumpcji. Jednocześnie zwraca uwagę, że w dzisiejszym świecie człowiek ma nastawienie dokładnie przeciwne - możemy dawać, ale jedynie wtedy, gdy otrzymujemy coś w zamian. Nie chodzi tu o materialną stronę tego zagadnienia, gdyż autor uważa, w czym trudno nie przyznać mu racji, że najważniejsza rzecz, jaką jeden człowiek może dać drugiemu, należy do rzeczy typowo ludzkich. Jest nią dawanie tego, co jest w nas najcenniejsze, swojego życia. Nie chodzi tu, oczywiście, o największą z możliwych ofiar - poświęcenie życia, ale o dawanie tego, co jest w człowieku żywe: radości, smutku, zainteresowania, chęci zrozumienia, humoru, umiejętności, własnych trosk. To właśnie powoduje, że zyskujemy na poczuciu własnego "ja", a także wzmacniamy poczucie istnienia drugiej osoby. Tak powstaje więź międzyludzka, relacje oparte na bezinteresownym, wzajemnym obdarowywaniu, a jednocześnie poczucie sensu własnego życia i radości z niego. Poza daniem są też inne niezbędne składniki wspólne dla wszystkich form miłości dojrzałej (miłość braterska, matczyzna, erotyczna, Boga czy też samego siebie), takie jak troska, poczucie odpowiedzialności, poszanowanie i poznanie. Ważne jest pragnienie, aby drugi człowiek mógł się rozwijać i kształtować takim jaki jest, aby ukochana osoba rozwijała się dla jej własnego dobra, a nie po to, żeby nam służyć. Kochać kogoś, to znaczy akceptować go takim jaki jest, a nie jakim chcemy, żeby był. Jest to, oczywiście, bezpośrednio powiązane z osiągnięciem własnej niezależności. Bez poznania obiektu miłości, nie jest możliwe jego prawdziwe pokochanie, a pozostałe składniki skierowane byłyby na oślep. Nieco inaczej jest w przypadku miłości do Boga, gdy uczuciu temu towarzyszy odrzucenie prób poznania Go za pomocą rozumu. Przy takim mistycznym doznaniu zespolenia z Bogiem nie ma potrzeby i miejsca na wiedzę o Nim.

\* \* \*

Moim zdaniem, trudno nie zgodzić się z tezą Fromma, że miłość jest rzeczą nie tylko bardzo ważną, ale także ogromnie trudną i wymagającą. Trudno zarazem oprzeć się wrażeniu, że to, co pisze autor *O sztuce miłości*, to ideał, do którego należy dążyć, aby spełnić się w tej, jakby nie patrzeć, najważniejszej dziedzinie naszego życia. Jest to jednak ideał niemożliwy do osiągnięcia dla ogółu. Podkreślam, dla ogółu, gdyż - jeśli by wierzyć autorowi - również na tym polu, tak jak i w innych dziedzinach, istnieją wrażliwi, pełni talentu, zapału i chęci pracy artyści sztuki miłosnej. Z tą tezą autora mógłbym się ewentualnie zgodzić, natomiast trudno mi zaakceptować twierdzenie, że sztuki miłości może nauczyć się każdy. Dziedzina ta dotyczy bowiem głównie sfery duchowej człowieka, a tutaj decydują czynniki bardzo indywidualne - szeroko rozumiane wnętrze i wrażliwość jednostki. Patrząc na współczesnych, trudno nie dostrzec różnic i barier nie do pokonania między ludźmi w tej materii.

Książka *O sztuce miłości* zmusza do refleksji nad rzeczywistością, "ludźmi-maszynami" końca XX wieku, nastawionymi głównie na konsumpcję. Z drugiej strony, wydaje się, że w kwestii szukania stabilności i bezpieczeństwa, oddalenia od siebie uczucia odosobnienia, poprzez wyrzeczenie się własnego "ja", autor za bardzo akcentuje beznadziejność poczynań dzisiejszego człowieka. Zgadzam się, że poczucie "pełni szczęścia" jest dla niego często nieosiągalne, ale wierzę, że jest on w stanie obserwować i analizować swoje zachowanie oraz stany, w jakich się znajduje. Przez odpowiednie reagowanie na wyniki autoanalizy może wzmocnić poczucie siły własnego "ja" i wejść na drogę prowadzącą do szczęścia, być może rozumianego jako "miłość do...", ale niekoniecznie.

Robert Kwasigroch

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

## Spojrzenie wstecz na... gdańską szkołę architektury (cz.2)

Nielatwe to zadanie - przedstawienie cech charakterystycznych Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej bez katalogowych, suchych danych, a także bez laurkowego zadęcia. Architekturę na Politechnice Gdańskiej studiowali młodzi ludzie zainteresowani specyfiką regionu nadmorskiego. Program nauczania zawodu architekta stworzyli pasjonaci i zawodowcy: młodzi duchem dojrzały profesjonaliści, rekrutujący się spośród profesorów i asystentów Wydziałów Architektury Politechniki Lwowskiej i Wileńskiej, oraz inżynierowie praktycy z Gdańska i Gdyni. Jeśli mamy odwagę z szacunkiem, pietyzmem i czułością popatrzeć na zrealizowane przed 50 czy 60 laty programy kompleksowego nauczania architektury, to stwierdzamy bezstronnie, że wysiłki prowadzące do wychowania odpowiedzialnego za "kreskę" inżyniera architekta są niezależne od uczelni. Różnice programowe nauczania zawodu architekta-inżyniera, a zarazem i designera (!) - wynikały z faktu, że programy te opracowywały Osobowości - Jednostki Wybitne - Indywidualności Twórcze - w tym samym czasie, zgodnie z wymaganiami okresu wielkiej powszechnej odbudowy lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Same nazwiska mówią za siebie, np. w Gdańsku działali profesorowie Marian Minkiewicz, Edward Otto, Waław Rembiszewski, Adam Gerzabek, Kazimierz Lelewicz, Waław Porębowicz, Kazimierz Biszewski, Włodzimierz Pro-

haska, Waław Tomaszewski, Władysław Czerny, Władysław Lam, Anna Fischer i profesorowie Markowski, Serafin...

Nasi profesorowie stanowili wspaniałe grono koleżeńskie, zdawali sobie sprawę, że bramka, do której "strzelają", jest wspólna; celny strzał to dobrze przygotowany do zawodu architekt, a także program szkolenia, oparty na wiedzy grona dydaktycznego i przepływie energii pomiędzy studentami i wykładowcami, Czyli funkcjonujący na zasadzie współpracy MISTRZ-UCZEŃ. Tak było.

Po zajęciach kursowych studenci mogli odbywać praktyki zawodowe w pracowniach projektowych swych nauczycieli, a także i w czasie pracy na budowie. Był to bowiem czas powojennej reanimacji miasta Gdańska: pracowano przy odbudowie Starówki, przy opracowywaniu planów odbudowy osiedli mieszkaniowych średniej, niskiej i wielorodzinnej zabudowy Trójmiasta, tworzeniu sieci wszelkiego typu szkół, sklepów, kościołów, szpitali etc. Ta sytuacja stworzyła warunki do bardzo szybkiego dojrzewania do odpowiedzialnego uprawiania zawodu, do odpowiedzialności za "kreskę", wreszcie do umiejętności współpracy z kolegami z innych branż; umacniała postawy pozytywistyczne wśród młodych. Wtedy też największy był procent czynnie uprawiających zawód po studiach, w ogóle nie występowało zjawisko studiowania dla przyjemności czy dla

uniknięcia służby wojskowej, czy też wreszcie ze snobizmu. Jednym słowem, grono eleganckich wykładowców - prawdziwych przedwojennych profesorów - wykształciło skutecznie i szybko kadrę młodych entuzjastów zawodu, a równocześnie bardzo dobrych asystentów, którzy stanowili zaplecze kadry profesorskiej, a następnie sami sięgali po stopnie profesorskie.

Tutaj należałoby wspomnieć takie osobowości, jak prof. J. Stankiewicz, prof. J. Habela, prof. L. Taraszkiewicz, prof. R. Gruszkowski, prof. M. Szafrowski, prof. M. Kochanowski, prof. J. Chmiel, prof. W. Anders (wieloletni powojenny dziekan Wydziału), prof. A. Kohnke, prof. R. Zabrocki, prof. L. Verocsy, prof. A. Kita; docenci: doc. hab. R. Massalski, dr J. Ciemnołowski, doc. W. Arkuszewski i inni świetni nauczyciele akademicki - prawdziwi partnerzy studentów w trudnym procesie przyswajania tajemnic zawodu. W tym miejscu należy bardzo wiele dobrego powiedzieć o tradycji "partnerstwa" w uczelni Gdańskiej. Wśród kadry profesorów - twórców pierwszych programów - nie było problemu, kto jest lepszy, a kto mniej dobry - wszyscy byli "nowi" i POTRZEBNI w stopniu jednakowym. Czasom powojennym towarzyszyło poczucie przydatności. Po prostu każda otwarta głowa była na wagę złota. Jest sprawą jasną, iż ułożenie jednolitego powojennego planu studiów na Wydziałach Architektury było niezwykle trudne, wręcz niemożliwe - a może nawet niepotrzebne. Natomiast bardzo istotną była panująca wśród dawnych profesorów zgodność co do POTRZEBY wykształcenia umiejętności współpracy ze specjalistami z innych dziedzin twórczości inżynierskiej; zapraszano do współpracy w formie wykładów i seminariów pracowników biur projektowych, PWSSP. Sam prof. W. Prochaska prowadził biuro wykonawczo-projektowe w wyremontowanym przez siebie obiekcie na terenie Gdańska-Oliwy, gdzie przez wiele lat znajdował się architektoniczno-budowlany "poligon" doświadczalny i przynoszące dochody biuro projektowe. Nazywano je wówczas "gospodarstwem pomocniczym" Wydziału Architektury. Tam, w ogrodzie obiektu przy ul. Polanki w Gdańsku-Oliwie wykonano pierwsze egzemplarze ścian ocieplanych supremą w skali 1 : 1, modele nadproży ścianek i stropów, a także doświadczenia z ogrzewaniem podłogowym. Sam obiekt, w którym mieściło się biuro projektów, stanowił swoistą makietę w skali 1 : 1 (tak właśnie było po wojnie i trwało aż do jego likwidacji w latach 60.). Oprócz wymienionych wyżej pożytecznych stron współpracy starszych i młodych architektów istniała możliwość wykonywania PRAC DYPLOMOWYCH w pracowniach domu na ul. Polanki, pod okiem pedagogów, ale całkowicie samodzielnie; prawie w systemie klauzurowym - co dzisiaj jest nie do pomyślenia, gdyż każdy student pracuje w odosobnieniu. Szczególnie w związku z tym ucierpiała samodzielność w przedmiocie wykonywania makiet projektów dyplomowych i kursowych: nie ma po prostu odpowiedniej pracowni, gdzie można by w spokoju opracowywać makietę studyjne.

Wydział Architektury na Politechnice Gdańskiej utworzono 25 października 1945 r. (data, którą podaję, oznacza formalne powołanie przez Radę Ministrów organizowanego od początku istnienia PG, tj. od 24 maja 1945 r., Wydziału Architektury; por. M. Osiński, Wydział Architektury, [w:] Księga Pamiątkowa Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 1970, s. 32.). Jak pisał prof. Osiński, odrębność architektoniczna morskiego regionu, o której doskonale świadczą zachowane na Pomorzu Wschodnim zabytki dawnej architektury, będące dowodem istnienia wielowiekowej tradycji w tej dziedzinie, ale też bieżące potrzeby zrujnowanego działaniami wojennymi obszaru, całkowicie uzasadniały takie działania. We wstępnych pracach organizacyj-

nych brali udział profesorowie: urbanista Władysław Czerny, art. mal. Władysław Lam oraz historyk architektury dr Marian Osiński, pełniący wówczas funkcję dziekana Wydziału. Godne podkreślenia są działania naukowców wywodzących się z lwowskiego środowiska: Franciszka Otto oraz dra Feliksa Markowskiego. Osiński nie zapomniał również o naukowcach związanych z wileńskim środowiskiem uniwersyteckim, reprezentował je w okresie tworzenia Wydziału Jan Borowski; z Wybrzeża natomiast pochodzili Kazimierz Prochaska i Wacław Tomaszewski (Księga Pamiątkowa Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 1970, s. 32). Na Wydział w 1946 r. składało się 16 katedr:

- Geometrii Wykreślnej i Perspektywy Malarskiej
- Podstaw Budownictwa i Elementów Budowlanych
- Prowadzenia i Kosztorysowania Robót Budowlanych
- Rysunku, Rzeźby i Malarstwa
- Historii Architektury Powszechnej
- Historii Architektury Polskiej
- Budownictwa Wiejskiego
- Budownictwa Miejskiego
- Budownictwa Utylitarnego i Przemysłowego
- Budownictwa Monumentalnego
- Budownictwa Przymorza i Portów
- Statyki Budowli i Konstrukcji
- Instalacji Budowlanych
- Urbanistyki
- Planowania Krajowego i Regionalnego
- Architektury Wnętrz

Tak duża liczba katedr, w stosunku do szczupłego pierwotnie grona dydaktycznego, wykazała konieczność obsadzenia stanowisk ich kierowników przez profesorów pełniących już takie funkcje w innych katedrach. Sytuacja uległa poprawie, w miarę jak do Gdańska napływali wykładowcy wileńscy i lwowscy, m.in. dr Witold Minkiewicz, Stefan Porębowicz, Wacław Rembiszewski. W 1953 roku do grona profesorów Wydziału weszli art. mal. Adam Gerzabek (ASP Warszawa), art. mal. Erwin Elster z Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu; oprócz nich na stanowiska zastępców profesorów, czyli dzisiejszych docentów, nominacje otrzymali: Adam Kuhnel, Józef Rouba, Stanisław Różycki, Zygmunt Bułakowski, Zbigniew Żuławski, inż. Władysław Buczkowski. W ten sposób liczba profesorów zwiększyła się do 21. Pisząc o 21 profesorach mam na myśli również pracowników, którzy otrzymali nie istniejący już tytuł "zastępcy profesora" (Księga Pamiątkowa Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 1970, s. 32).

Podobnie jak w Warszawie, również na PG nie od razu udało się wypracować odpowiadający wszystkim program studiów. Tak charakteryzuje proces przekształceń, jakim ów program podlegał, prof. Osiński:

"W pierwszych trzech latach (1945 - 1948) obowiązywał na Wydziale program czteroletniego studium architektury. W oparciu o niego już w 1945 r. przyjęto razem na wszystkie cztery lata studiów 262 studentów, przy czym studentami wyższych lat była młodzież po wstępnych studiach w innych zakładach naukowych. W normalnie prowadzonym przez pierwsze dwa lata studium o programie 4-letnim Wydział dokonał pewnych zmian, wprowadzając na III i IV roku studiów specjalizację na architekturę i urbanistykę (co utrzymało się do r. 1951). W związku z koniecznością szybkiego kształcenia inżynierów arch. lub budowy na podstawie skróconych do trzech lat studiów, Wydział otworzył w r. 1948/49 pierwszy rok trzyletniego studium I stopnia (inżynierskiego), co powtarzało się następnie przez cztery lata. W lutym zaś 1952 r. Wydział otwo-

rzył I rok następnego 2-letniego studium II stopnia (magisterskiego), dostępnego dla absolwentów studium I stopnia z Politechnik Gdańskiej i Wrocławskiej oraz Wyższych Szkół Inżynierskich Poznania i Szczecina.

Od 1952 r. dla spełnienia tego postulatu program studiów ułożono jako wspólny, obowiązujący wszystkich studentów przez 9 semestrów, a kończący się na semestrach 10 i 11 (dyplomowym) specjalizacją w zakresie architektury wsi, miasta, obiektów przemysłowych oraz urbanistyki."

Praktyka dydaktyczna nakazała zmniejszenie liczby katedr; w drugim dziesięcioleciu działalności uczelni było ich 14, natomiast w 1965 r. - 11. Studia skrócono do pięciu lat. Ostatecznie, po reorganizacji, stanowiska kierowników Katedr objęli:

Geometria Wykreślna (prof. nadzw. F. Otto),  
Statyka i Budownictwo (prof. nadzw. dr S. Rydlewski) z zakładami: Statyka i Konstrukcje Budowlane; Budownictwo Ogólne (st. wykł. S. Różycki),

Rysunek, Malarstwo i Rzeźba (st. wykł. mgr A. Fiszer) Historia Architektury Powszechnej (prof. nadzw. Z. Dmochowski) z zakładami: Historia Architektury Powszechnej; Architektura Tropikalna,

Historia Architektury Polskiej (prof. nadzw. Dr F. Markowski) z zakładami: Historia Architektury Polskiej; Konserwacja Zabytków, Architektura i Planowanie Wsi (doc. S. Serafin),

Projektowanie Architektury Miejskiej (doc. J. Rybicki) z zakładami: Projektowanie Architektury Miejskiej; Projektowanie Budynków Służby Zdrowia (prof. nadzw. S. Porębowicz),  
Projektowanie Architektury Przemysłowej (prof. nadzw. W. Prochaska),

Projektowanie Architektury Przymorza (doc. W. Urbanowicz) z zakładami: Projektowanie Architektury Przymorza (st. wykł. Lech Zaleski); Architektura Okrętu,

Projektowanie Budynków Użyteczności Publicznej (prof. nadzw. W. Rembiszewski) z zakładami: Projektowanie Budynków Użyteczności Publicznej; Podstawy Projektowania Architektonicznego (doc. K. Biszewski).

Na Wydziale Architektury w Gdańsku wielki wysiłek włożono w opracowanie tematyki związanej z morzem, architekturą na styku lądu i wody, z zapleczem techniczno - maszynowym portów oraz z życiem codziennym w mieście portowym. W ten sposób zawsze oferowano studentom do rozpracowania tematy z zakresu specjalizacji morskiej. To właśnie uczyniło tutejszy Wydział niepowtarzalnym i atrakcyjnym dla młodych ludzi z całej Polski.

W jedynej w kraju Katedrze Architektury Portów i Przymorza bardzo starannie dobierano tematykę prac dla studentów o czym świadczą tematy prac studialnych wykonywanych w Katedrze pod kierunkiem prof. W. Tomaszewskiego, a później W. Urbanowicza (W 1970 r. Katedra Architektury Portów i Przymorza połączona została z Katedrą Architektury Przemysłowej; nowo utworzoną jednostkę przemianowano na Katedrę Architektury Morskiej i Przemysłowej).

Program Katedry Portów i Przymorza oferował 3 działy, do wyboru: a) zabudowa terenów portowych; b) budowle i urządzenia portowe i przymorskie; c) architektura statków.

W grupie pierwszej opracowywano zasady projektowania basenów portowych, nabrzeży, pirsów, falochronów dla wybrzeży: oceanicznych, śródlądowych; w grupie drugiej: magazyny, spichlerze, uzbrojenie nabrzeży (Archiwum Katedry Architektury Morskiej i Przemysłowej, Ogólny program studiów Architektury Portów i Przymorza).

Owoce pionierskiej pracy naszych wykładowców były nowatorskie opracowania, m.in. *Architektura okrętów w Polsce* Prof. Urbanowicza, *Transatlantyki* tegoż autora, W. Arkuszeńskiego *Statki rzeczne i śródlądowe* etc.

Kończąc powyższy szkic dodam, że przedstawiłam tu jedynie wycinek z powojennej historii Wydziału. Niemniej jednak starałam się przedstawić młodszej generacji architektów i zainteresowanym studiami na Politechnice Gdańskiej, jak doszło do zaistnienia nietypowej szkoły architektonicznej na mapie polskich uczelni technicznych.

Krystyna Pokrzywnicka  
Wydział Architektury

## Obrazki z zawodowego życia absolwenta PG (cd.)

**W** 1963 roku, po 10 latach pracy w placówkach ZUT "Zgoda" w Elblągu i Gdańsku doszły nas słuchy, że decyzją ministerstwa świętochłowska "Zgoda" ma zaprzestać produkcji napędów głównych do statków i przejść całkowicie na obsługę śląskich hut i kopalń, robiąc maszyny wyciągowe, walcarki, sprężarki itp. Napędy miały robić zakłady "H. Cegielski" w Poznaniu. Istnienie Delegatury ZUT "Zgoda" na Wybrzeżu traciło sens. Równocześnie Stocznia Gdańska kupiła od duńskiej firmy Burmaister & Wain licencję na budowę silników spalinowych. My w Delegaturze już zdążyliśmy się otrząść z okrętowymi silnikami wysokoprężnymi, bo już od trzech lat "Zgoda" produkowała takie na szwajcarskiej licencji pod firmowym znakiem "ZGODA-SULZER"; obsłużyliśmy więc sporo statków silnikami.

Przeniosłem się więc do Stoczni Gdańskiej, gdzie po sześciu miesiącach w biurze konstrukcyjnym objąłem stanowisko za-



stępcy kierownika wydziału montażu maszyn. W biurze konstrukcyjnym moim zadaniem była obsługa konstrukcyjna remontów gwarancyjnych. W swoim mniemaniu czyniłem to dość nieudolnie, ale nie dano mi tego odczuć. Trzeba było znać się na sprawach kadłubowych, pokładowych i elektrycznych, co mi kompletnie nie leżało. Szybko więc uciekłem na warsztat, gdy nadarzyła się okazja. Kierowniczyłem tam prawie 6 lat, ale nie wspominam dobrze tego okresu. Przekonałem się, że źle się czuję jako zwierzchnik prawie 15-osobowej załogi wydziału. Przeraziły mnie dość gangsterskie międzyludzkie układy, tak charakterystyczne dla

socialistycznej odgórnej gospodarki, w której niedostatki organizacji, zaopatrzenia, wyposażenia i wynagrodzenia starano się nadrobić naciskami personalnymi. Tworzyła się atmosfera oparta nie na współpracy w dążeniu do wspólnego celu, ale na wykręcaniu się od odpowiedzialności i zwalaniu jej na inne grupy pracownicze: Musiałem więc w tej gmatwaninie rozgry-

wiek przegrać i w 1969 roku wróciłem do Delegatury "Zgody", której nie rozwiązano, gdyż cofnięto decyzję o likwidacji produkcji silników. Mało tego, silniki "ZGODA-SULZER" szły już nie tylko do polskich stoczni, ale również do Bułgarii, Rumunii, do Węgier, a nawet do północnej Korei. Stocznie w tych krajach potrzebowały przedstawicieli dostawcy, zapowiadało się więc ciekawie i budziło nadzieję na szersze horyzonty.

Z opisu życia zawodowego przejdę na chwilę do naukowego, gdyż pracując już w Gdańsku, po przejściu intensywnego kursu przygotowawczego, zorganizowanego przez Stocznnię, zdałem egzamin wstępny i zostałem przyjęty na wieczorowe studia magisterskie na Politechnice Gdańskiej. Mile wspominam z tego czasu pana Juranda Ryterskiego, zaangażowanego do owego kursu, który z ogromnym talentem dydaktycznym w ciągu niewielu godzin wykładowych wbił nam, kursantom, do głów cały potrzebny materiał wyższej matematyki tak jasno i przejrzysto, że egzamin był fraszką. A przecież wielu z nas przerabiało ten materiał 10 lat wcześniej i nie miało okazji go powtarzać i utrwalać.

Przez pięć semestrów, po pięć dni w tygodniu musiałem biegać zaraz po pracy na Politechnikę. Mogłem legalnie wychodzić z pracy godzinę wcześniej i miałem prawo do dodatkowych 14 dni urlopu rocznie na zdawanie egzaminów sesyjnych. Dział trudno mi sobie to wyobrazić, miałem przecież wtedy dom, dzieci, żonę też studiującą zaocznie, pracę zawodową dość absorbującą i mieszkanie o całkowitej powierzchni 46 m<sup>2</sup>. Ale sił i zapału miało się wtedy więcej.

Podczas tych magisterskich studiów dopuściłem się pewnego szwindlu, do czego teraz mogę się przyznać. W czasie poprzednich studiów "inżynierskich" robiliśmy dwa projekty przejściowe. A właściwie jeden przejściowy i jeden dyplomowy. Ten przejściowy robiłem z turbin u profesora Roberta Szewalskiego. Na studiach magisterskich też kazano nam zrobić projekt przejściowy i dyplomowy, czyli razem wypadły cztery projekty, podczas gdy studenci przechodzący jednym ciągiem kurs magisterski robili w sumie dwie przejściówki i jeden dyplomowy, czyli razem trzy. Poszedłem więc bezczelnie do profesora Szewalskiego i zapytałem go, czy nie mógłby mi zaliczyć mojego projektu sprzed kilku lat, jako projektu przejściowego na obecne, magisterskie studia. Powiedziałem o mojej kalkulacji, że w sumie musiałbym zrobić cztery, jeśli normalnie obowiązują trzy. Profesor przyjął moją prośbę i kazał przyjść za kilka dni, aby przez ten czas odgrzebać mój dawny projekt i zadecydować po jego obejrzeniu. Przyszedłem po tych kilku dniach z indeksem i dostałem zaliczeniowy wpis. Nie wiem, czy zadziałało tu i to, że cieszyłem się sympatią profesora i podczas studiów normalnych, i wieczorowych - nie wiem czym zasłużoną - czy wpis dostałem zupełnie bezstronnie. Przyznałem się do tego szwindlu kolegom z roku i momentalnie kilku z nich załatwiło sobie to samo u innych profesorów. Nie wszyscy zdążyli, bo sprawa doszła do dziekanatu i wydano katedrom zakaz takich praktyk. Kto miał wpis, to miał, a reszta musiała robić dwa projekty.

Pod koniec moich wieczorowych studiów magisterskich, wydarzyło mi się coś arcyciekawego. Po wysłuchaniu pięciu semestrów wykładów i ćwiczeń udało mi się dość szybko zdać egzaminy i pozostał mi do wykończenia jedynie projekt dyplomowy z siłowni okrętowych, który robiłem u prof. Janusza Stalińskiego. Reszta kolegów z roku miała jeszcze zaległe egzaminy. Tempo prac zmalało. Minęło kilka miesięcy, podczas których zbierałem materiały, i powoli praca szła do przodu. Nagle ukazało się zarządzenie ministerstwa, że studenci wie-

czorówek muszą w ciągu 6 miesięcy od zdania ostatniego egzaminu sesyjnego przystąpić do egzaminu dyplomowego, pod rygorem skreślenia z listy studiujących. Na tablicy ogłoszeń dziekanatu ukazała się informacja, że Krzysztof Targowski został skreślony z listy studentów, jako jedyny z roku, mimo najdalej posuniętej pracy. Czując, że to jakaś totalna bzdura, zameldowałem się do prodziekana od studiów wieczorowych, inż. Dobromirskiego, i zapytałem, co mam z tym fantem zrobić? Prodziekan powiedział tak: Widzi pan, jest w ministerstwie taki urzędnik, który nazywa się Ekiert, i który co jakiś czas wydaje tego typu zarządzenia. W podobnej sytuacji jak pan są setki studentów w całym kraju. Niech pan napisze podanie do ministerstwa na ręce pana Ekierta, z prośbą o ponowne przyjęcie, uzasadniając swoją sytuację i dodając, że pracuje pan w przemyśle okrętowym na odpowiedzialnym stanowisku. Gdy pan Ekiert dostanie kilkaset takich podań, to będzie musiał się zastanowić i coś zrobić. Mnie na własną rękę nic zrobić nie wolno". Napisałem podanie i po dwóch czy trzech tygodniach ogłoszono, że decyzją ministerstwa przyjęto mnie ponownie w poczet studentów. Nic mi już nie przeszkodziło w osiągnięciu po tytuł magistra inżyniera.

Ale na koniec była też wesoła przygoda. Szukając materiałów do projektu dyplomowego, a miałem zrobić siłownię parową zbiornikowca z napędem turbinowym, pojechałem do Elbląga, gdzie na początku mojej kariery pracowałem w turbinowym biurze konstrukcyjnym. Myślałem, że znajdę tam jakieś dokumenty ofertowe europejskich zakładów produkujących turbiny, bo słyszałem wcześniej, że projektowano w kraju zbudowanie zbiornikowca turbinowego, i że "Zamech" miał zbudować turbinę napędową. Liczyłem też, że istnieje tam projekt tej turbiny. Znalazłem kilka prospektów, ale - co najpiękniejsze - dano mi na własność dwa kompletne projekty siłowni turbinowej z obliczeniami cieplnymi. Jeden wykonany przez Centralne Biuro Konstrukcji Okrętowych w Gdańsku, a drugi wykonany przez Katedrę Siłowni Okrętowych Politechniki Gdańskiej. Dwie grube księgi. Czyż mogła mi się trafić lepsza gratka? Tempo pracy nad moim projektem wzrosło, ale przebywałem też często w czytelni Politechniki i szukałem tam różnych innych materiałów, żeby było uczciwie. Odkryłem przy okazji książki i artykuły w czasopiśmie, z których do wykładów przygotowywał się profesor Staliński, co uwidoczniło się w moich notatkach. Zrobiłem projekt, uzyskałem opinię mojego korektora komandora Wąsowicza i na końcu zrobiłem listę źródeł, z których korzystałem. Bez ogródek wpisałem też oba projekty, które dostałem w Elblągu. Oddałem projekt profesorowi Stalińskiemu. Przeglądał, rozmawiał, pytał o to i owo i wreszcie doszedł do spisu źródeł. Wtedy aż podskoczył na krześle - "A pan skąd to dostał?" Wyjawiłem całą prawdę. Chwila zastanowienia... ale chyba nie wypadało odrzucić projektu inżyniera z dziesięcioletnią praktyką, który podparł się w swej pracy Katedrą Siłowni. Nie wiem, czy był to mój drugi szwindel na Politechnice Gdańskiej.

\*\*\*

Napisałem już, że praca w Stoczni Gdańskiej skończyła się dla mnie przegraną i wróciłem do Delegatury ZUT "Zgoda". Załoga mojego wydziału stoczniowego pożegnała mnie laurką z wieloma podpisami, kryształowym wazonem i bukietem kwiatów. Mam to do dziś. Lepsze miałem układy z mistrzami i monterami, niż z przełożonymi. W Delegaturze pracowało się starym systemem, nadzorując i regulując silniki. Rozszerzyły się kontakty z innymi stoczniami, bo silniki szły i do Gdyni, i do Szczecina, i za granicę. W Szczecinie powstała oddzielna placówka, ale często nasza Delegatura personalnie ją wspierała.

Tak było w latach 1965-1978. Opiszę tu epizod ze Szczecina. Pojechałem tam do stoczni nadzorować próby na uwięzi i w morzu jednostki wojskowej dla ZSRR z dwoma dużymi silnikami "ZGODA-SULZER". Podczas prób w morzu, przy wyższym obciążeniu wystąpiło pompowanie turbodoładowarek jednego z silników. Szukałem przyczyny i wreszcie przy konsultacji z centralą postanowiłem sprawdzić rozrząd zaworowy. Okazało się, że rozrząd był ustawiony z dużym błędem i niejasne było, jakim cudem silnik wytrzymał próby hamowania w zakładzie. Ustalono z kierownictwem prób, że dopłyniemy do Gdańska, gdzie statek miał przejść demagnetyzację i konserwację kadłuba w Stoczni Remontowej, i podczas tego postoju zrobić poprawę ustawienia rozrządu. Była to poważna praca, bo trzeba było przestawiać krzywki na dwóch wałach rozrządu, a były one osadzone na wcisk, za pomocą oleju pod wysokim ciśnieniem. Było ich 32 i niezręczne przestawianie groziło zatarciem i wymianą całego wału. Przyjechał monter z oprzyrządowaniem oraz kontroler i po wyczerpanej, wielogodzinnej pracy operacja się udała. Stocznia, nie dowierzając słuszności naszej decyzji, przywiozła samochodem dwie turbodoładowarki z innego silnika i przemontowała na wszelki wypadek. Sprawdzenie miało nastąpić w drodze powrotnej do Szczecina. Demagnetyzacja i postój na doku potrwały chyba około dwóch tygodni i nadszedł dzień odpląnięcia.

Będąc w Szczecinie podczas prób na uwięzi, zauważyłam w jednym ze sklepów ładną tapetę zmywalną, a takie wówczas wchodziły w modę. W gdańskich sklepach takich nie było, bo w ogóle w Szczecinie, jako wizytówka dla blisko mieszkających Niemców, był przez władze PRL dużo lepiej zaopatrzone w atrakcyjne towary. Bałem się kupowania tapety na mój gust, tym bardziej, że jestem trochę daltonistą i nie wierzę w swoje poczucie piękna. Potrzebna była konsultacja żony. Umyśliłem sobie wkręcić ją na okręt na podróż powrotną, wysiąść, kupić tapetę i pociągiem od razu wrócić do Gdańska. Przy okazji

mogłem żonie pokazać kawałek łączki z terenu mojej pracy. Zgodę kapitana jednostki i kierownika prób uzyskałem bez trudu. W dniu zejścia z doku i odbicia, psim śwędem żonę przeschmuglowałem przez portiernię Stoczni, mimo początkowych oporów strażniczki, i weszliśmy na okręt. Dostaliśmy oddzielną dwuosobową kabinę i płynęliśmy. Silniki pracowały bez zarzutu, ale żona źle znosiła rejs i reagowała nudnościami przy najmniejszym kołysaniu. Nie pomógł nawet koniak, który wypiliśmy z kapitanem i kierownikiem prób, jako rewanż za nieprawego pasażera. Zresztą oni też czuli się wdzięczni za sprawne usunięcie usterki bez straty czasu. Gdy wypłynęliśmy z wód terytorialnych, zbliżył się do nas mały stateczek NATO z wieloma antenami na pokładzie i namierzał nasze długości fal radiowych, a może i innych. Oblatywał nas też długo mały samolocik z przymocowaną do skrzydła widoczną kamerą filmową i obfotografowywał nas wielokrotnie ze wszystkich stron. Powodowało to wielkie poruszenie wśród radzieckiej załogi wojskowej, która przyjmowała okręt. A polska załoga miała wielką uciechę.

Półtorej doby płynęliśmy do Szczecina, gdzie kupiliśmy tapetę i w ostatniej chwili złapaliśmy pociąg do Gdańska. Tapeta trzymała się w pokoju 20 lat i nieczęsto była zmywana, a wymieniona została już w latach dziewięćdziesiątych. Samodzielnie, bez pomocy "fachowców", mimo przekroczenia przez nas lat sześćdziesięciu. I ta operacja też wyszła bez usterek. Rodzaj pracy zawodowej wyrobił w nas obojgu dużo samodzielności i zaufania do własnej pracy.

*Krzysztof Targowski  
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

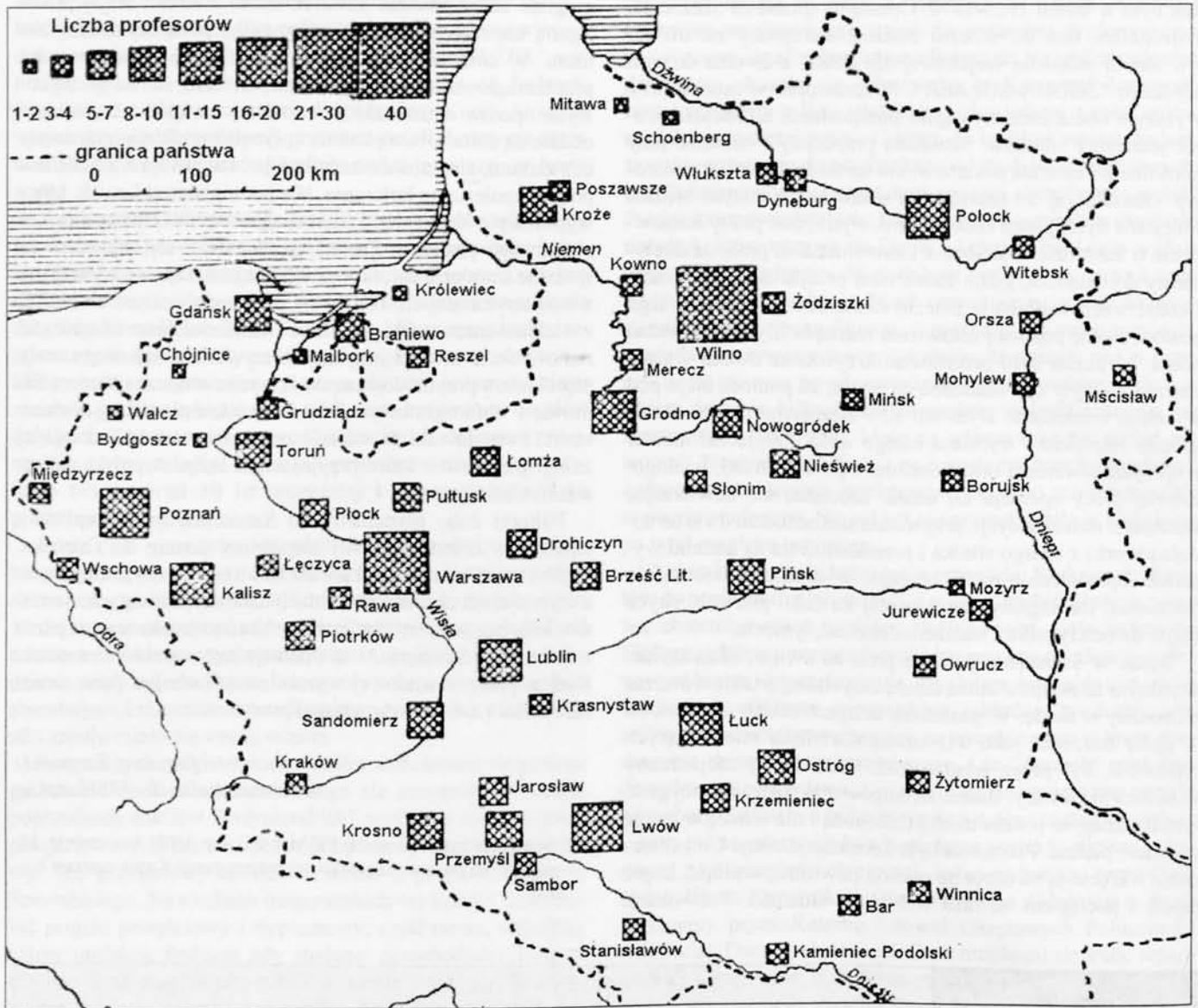
PS W poprzednim numerze PISMA PG (nr 1/98), na stronie 22, omyłkowo podano nazwisko sekretarza partii Kunst zamiast Kunat.



**Z głębokim żalem zawiadamiamy,  
że 25 stycznia 1998 r. przeżywszy 78 lat  
zmarł po długich i ciężkich cierpieniach  
śp. prof. zw. dr hab. inż. Jan DOBROWOLSKI  
emerytowany profesor zwyczajny Politechniki Gdańskiej  
Dziekan Wydziału Chemicznego PG w latach 1981-1984**

Całe swoje życie zawodowe związał z Politechniką Gdańską, której był absolwentem. Uczestnik ruchu oporu (od 1940 żołnierz ZWZ, a następnie Armii Krajowej w Tarnowie). Więzień obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Mauthausen. Cieszył się ogromnym szacunkiem jako chemik nieorganik. Oprócz znaczących osiągnięć naukowych - opublikował przeszło 150 prac naukowych - wyróżniał się w pracy organizacyjnej. Piastował funkcję dziekana Wydziału Chemicznego i wicedyrektora Instytutu Chemii i Technologii Nieorganicznej, a następnie kierował Katedrą Chemii Nieorganicznej. Wypromował 12 doktorów. Był wieloletnim pełnomocnikiem rektora ds. współpracy z uczelniami francuskimi. Za swoją działalność odznaczony został Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Oficerskim Palm Akademickich (Francja), Krzyżem Oświęcimskim i International Order of Merit (Wielka Brytania) oraz innymi odznaczeniami państwowymi, wojskowymi, kombatanckimi, regionalnymi i resortowymi. Wielokrotnie wyróżniany nagrodami Ministra Szkolnictwa Wyższego i Techniki i Rektora PG.

Szeregi społeczności akademickiej opuścił Człowiek wartościowy. Pozostanie w naszej pamięci.



Szkoły jezuickie w XVII w. wg liczby profesorów (w: "Kościół w Polsce" J. Kłoczkowski)

## KRESY cd

### 6. Burzliwe dzieje dalszego rozwoju

Kryzys Kościoła Katolickiego w XIV wieku, rozłam papieżstwa i ogólne przekonanie o konieczności radykalnych zmian doprowadziły w XV wieku do reform. Luter zapoczątkował ruch protestancki, a kilku myślicieli Kościoła Katolickiego podjęło dociekania filozoficzne stanowiące podwaliny reform unikających błędów ruchu protestanckiego. Ignacy Loyola (Hiszpan) doprowadził do założenia zakonu jezuitów. Był to pierwszy z zakonów, który inspirował wzmoczoną pracę nad sobą; kładł on szczególny nacisk na kształtowanie sylwetki duchowej i zabiegał o solidną formację intelektualno-religijną, wypracował znakomitą organizację i rozpoczął specjalizować się w działalności racjonalnego kształcenia dostępnego ogółowi społeczeństwa. Działalność zakonu łączyła w sobie elementy religijne, kulturowe i społeczne nowoczesnego na owe czasy humanizmu. Nowatorska działalność zakonu przyczyniła się do szeroko pojętej reformy katolicyzmu, która częściowo znalazła swój wyraz w pracach Soboru Trydenckiego.

Książę pruski Albrecht Hohenzollern w 1544 r. założył uniwersytet w Królewcu. Przymiłowani doń profesorowie przysięgali, że w wykładach nie będą odstępować od nauki Lutra.

Specjalna zaś instytucja cenzorów czuwała nad ortodoksją książek i pism użytkowanych przez profesorów i studentów.

Jezuici w 1551 r. uruchomili w Rzymie, wzorcowe dla całego zakonu, Kolegium Romanum, a w 1564 r. przybyli do Polski i powołali pierwszą w Polsce jezuicką szkołę w Braniewie; początkowo jako szkołę pięcioklasową, a z czasem - seminarium diecezjalne, wreszcie - seminarium papieskie. W 1566 r. uruchomili szkołę w Puławach, a w 1569 - w Wilnie, które wszechstronnie rozwijało się dzięki szczególnej trosce Zygmunta Augusta. Król sprowadzał budowniczych, artystów i osobistości z Zachodu. Budowano rezydencje i obiekty użyteczności publicznej. Tolerancyjność króla sprawiła, że powstawały klasztory i monastypy oraz świątynie różnych wyznań: kościoły katolickie, zbory ewangelickie i luteranckie, meczety tatarskie i bożnice żydowskie. Sytuacja w krajach ościennych sprzyjała przenoszeniu się Żydów do Wilna, w którym panowała tolerancja i ożywienie gospodarcze. Żyli więc obok siebie: Polacy, Rusini, Żydzi, Litwini, Niemcy, Grecy, Tatarzy, Turcy... Możliwe rody, ulegając modzie, torowały drogę protestantom.

Wilno nabierało cech stolicy europejskiej. Dzięki biskupowi wileńskiemu Walerianowi Protasewiczowi przybyli jezuiti,

którzy znali już specyfikę ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej i zdawali sobie sprawę ze skutków fali protestantyzmu. Wraz ze śmiercią ostatniego Jagiellona (1572 r.) skończyła się jednak szczęśliwa passa dla miasta. Potem nastąpiły czasy najazdu szwedzkiego i wojen moskiewskich. Przyniosły one pożogi, rabunki oraz plagi głodu i "morowego powietrza".

W roku 1574 Szymon Budny zakończył pracę nad przekładem na język polski Nowego Testamentu. Opracowanie to zostało wydane przez drukarnię łoską (Łosk - mała miejscowość pomiędzy Smorgoniami a Wołożynem Tyszkiewiczów), którą założył magnat Jan Kiszka (arianin - socynianin).

Jezuici przybyli do Wilna w XVI wieku, zastali teren na tyle już przygotowany, by zaszczerpać i rozwijać kształcenie na poziomie średnim. Ich kolegium w Wilnie promieniowało na coraz to większe tereny wschodnie, aż po granice ziem nasyconych kulturą bizantyjską. Wileńskie kolegium Towarzystwa Jezusowego w XVI wieku otrzymało od polskiego króla Stefana Batorego status szkoły wyższej. Uniwersytet Wileński, najbardziej wysunięta na wschód placówka naukowa cywilizacji europejskiej, zakładał i nadzorował na rozległych kresach wschodnich Rzeczypospolitej coraz to nowe szkoły: Połock (1580), Dorpat (1584), Nieśwież (1586), Łuck (1609), Winnica (1610), Bar (1610), Orsza (1616), Kroże (1614), Bobrujsk (1627), Witebsk (1640), Grodno (1647), Smoleńsk (1647), Mińsk (1657), Drohiczyn (1661), Kowno (1673), Dyneburg (1678), Krzemiec (1720), Żytomierz (1724)... Uniwersytetowi Wileńskiemu podlegało kilkadziesiąt dużych gimnazjów (kolegiów), w których kształciły się tysiące młodzieży.

Ażeby należycie ocenić rolę i znaczenie uniwersytetu leżącego na północno-wschodnim kresie kultury europejskiej, należy spojrzeć na rozwój szkół wyższych. W XI wieku szkoły europejskie tworzyły ośrodki myśli, wokół których skupiały się światło umysły i coraz liczniejsze grona uczniów. Początkowo były to wspólnoty żyjące bardzo skromnie, ale z czasem przekonywano się o ich użyteczności społecznej i dobrodziejnie przyznawali im prawa i przywileje; były to zaczątki uniwersytetów. Na początku XII w.: Bolonia i Rawenna. W tym czasie w Polsce Bolesław Krzywousty dzielił państwo pomiędzy synów. W sto lat później: Sorbona, Cambridge, Oxford. Zagony tatarskie niszczyły ziemie południowo-wschodnie Polski, ale jeszcze nie doszły do Legnicy. W połowie XIV w.: Kraków, Wiedeń, Heidelberg.

W Polsce wygasła dynastia Piastów, nadeszli Jagiellonowie. Włoskie odrodzenie inspirowało tę niewielką część cywilizowanej Europy, która zawierała się pomiędzy Neapolem a Edynburgiem oraz pomiędzy Salamanką i Krakowem. W połowie XVI w.: Kolonia i Wilno. W tym czasie Stefan Batory podporządkował Gdańsk, zdobył Płock, wcielił Inflanty.

Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie powstał dopiero w połowie XVII w. W drugiej zaś połowie XVII w. Piotr Wielki, twórca potęgi Rosji, zainicjował zakładanie uczelni w swym rozległym już państwie; jednak uważał on, że prawdziwym mędrcem można zostać we Włoszech, Niemczech, Holandii, Anglii czy Francji i dlatego po tym bezceremonialnym władcy Rosji została trwała pamiątka w postaci tradycyjnego tytułu "kandydat nauk".

## 7. Dylematy Rzeczypospolitej Obojga Narodów

Iwan Groźny, wielki książę moskiewski, przebiegłymi poczynaniami realizował swą zaborczą politykę skierowaną przeciwko północno-wschodnim ziemiom WKL. Stefan Batory nie dał się zwieść jego knowaniom, zerwał rokowania i w 1580 r. ruszył ku Wielkim Łukom. Iwan - znając stosunek Rzymu do



zagrożenia chrześcijaństwa ze strony potęgi mahometańskiej - usiłował oszukać papieża sugerując, że Batory sprzymierza się z Turkami przeciwko Moskwie. Pośredniczący w pertraktacjach nuncjusz papieski (jezuita) podczas długiego pobytu w Moskwie poznał tyranę Iwana oraz ciemnotę księstwa moskiewskiego pozbawionego szkół wyższych, a posiadającego jedynie bardzo słabe szkolnictwo niższe. Stwierdził również, że wrogość do wszystkiego, co polskie, zachodnioeuropejskie, rzymskie - wyklucza przenikanie kultury i religii z Zachodu.

W tych czasach narastały ruchy reformatorskie nie tylko w kościele rzymskim i protestanckim (luterskim, kalwińskim), lecz również w kościele katolickim wschodnim. Nasilanie się tych tendencji odbywało się w atmosferze narastającego przymusu, zmierzającego do absolutyzmu wyznaniowego, realizowanego wspólnie przez władze państwowe i kościelne. W niezależnym i w pełni prawosławnym państwie moskiewskim (znajdującym się wprawdzie na terenie geograficznym Europy, lecz przesiąkniętym całkowicie mentalnością mongolskich zaborców), narastały prześladowania nie tylko heretyków, ale i grup starających się przeciwdziałać zaostrej się ingerencji państwa w sprawy religii oraz wspólnej presji kościoła i państwa, zmierzającej do uczynienia z kraju wielkiego kłasztoru.

W Europie zarysował się dwojaki podział: Zachód i Wschód, które minimalnie różniły się pod względem doktrynalnym, a zasadniczo pod względem kulturowym, oraz katolicyzm i protestantyzm na Zachodzie, znacząco różniące się pod względem doktrynalnym, a tylko nieznacznie pod względem kulturowym.

Kościół bizantyjski w XI w. oddzielił się od kościoła rzymskiego. Jego wpływy rozciągały się na południowo-wschodnie połacie Europy. W połowie XV w. Turcy zajmując Konstantynopol położyli kres cesarstwu wschodniemu, pozbawili patriarchę kościoła wschodniego wpływu na katolików obrządku greckiego oraz przerwali "jedwabny szlak" łączący Europę z Dalekim Wschodem. Północne wybrzeże Morza Śródziemnego było zaś opanowane przez islam. Moskwa w tym czasie była jeszcze całkowicie zamknięta na Europę. Odizolowana od otoczenia Europa zdawała egzamin własnej dojrzałości.

Jedynym obszarem, na którym zachodziły konfrontacje idei Zachodu i Wschodu były rozległe ziemie Rzeczypospolitej. I na tych ziemiach przebiegała ogromna praca oświeconej myśli reformatorskiej prawosławia. Biskupi i popowie prawosławni zdawali sobie sprawę, że ich kultura nie wytrzyma konkurencji z katolicyzmem obrządku zachodniego (rzymskiego) oraz wschodniego (bizantyjskiego). Dążyli do unii z kościołem zachodnim, ponieważ powołany pod koniec XVII w., patriarchat w Moskwie był podporządkowany apodyktycznej - na wzór wschodni - świeckiej władzy państwowej. Unia Brzeska miała

połączyć, lecz w decydującym momencie część elity wschodniej odstąpiła od podpisania unii z Rzymem. Nastąpiło więc rozbięcie chrześcijaństwa wschodniego. Unicy, przyłączając się do Rzymu i uznając zwierzchnictwo papieża zachowali dotychczasową liturgię, kalendarz wg starego stylu oraz małżeństwa księży. Dla Moskwy i Konstantynopola Unia Brzeska była nie tyle herezją, co zdradą!

Dla uzupełnienia tematu należy dodać kilka najważniejszych informacji. Po latach w zaborze austriackim przyjęła się nazwa: grekokatolicy. Dzieje kościoła grekokatolickiego, to pasmo nieustających prześladowań. W połowie XIX w. Rosja ostatecznie

zniszczyła kościoły unicki na Białorusi. Na synodzie lwowskim (1946 r.), na którym nie było biskupów grekokatolickich (uwięzieni, zamordowani przez władze stalinowskie) ogłoszono unieważnienie Unii i włączono grekokatolików do Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Mimo straszliwych represji kościół jednak przetrwał głównie na ziemi lwowskiej i tarnopolskiej, ale dalsze jego losy były równie tragiczne. Cdn.

Wacław Dziewulski  
Wydział Mechaniczny

Środek lata 1997 roku. W śródmieściu trwają uroczystości obchodów 1000-lecia grodu nad Motławą. Zwracają uwagę świeżo wyremontowane kamienice starego miasta i wystrojone ulice. Panuje beztroska, ogólna wesołość, wymieniane są gratulacje, wznoszone toasty, widać uśmiech na twarzach gospodarzy miasta - słowem: sielanka. Ale jest jeszcze inny Gdańsk, oddalony od centrum i z założenia gorszy, pełen dziurawych od kul z czasów II wojny światowej murów, ziejących stęchłąną klatek schodowych, brudnych podwórek z obskurnymi śmietnikami, odwiedzanych przez ludzi zepchniętych na margines społeczny; napotkamy tam meliny, bezkarnie niszczone przez właścicieli samochodów trawniki etc., etc. Miejsca te, zlokalizowane w Oruni, Nowym Porcie, we Wrzeszczu i innych dzielnicach Gdańska, są z zasady omijane przez straż miejską i właściwą administrację; zostały jakby zapomniane przez wszystkich w ferworze ogólnej zabawy.

Podczas trwania uroczystości milenijnych dokonywał się, po cichu, ostatni etap prywatyzacji Doliny Radości, przyrodniczej perły. W trakcie badań terenowych zlokalizowano tu m.in. stanowiska unikatowego grzyba, soplówki gałęzistej (*Hericum clathroides*), i niezwykle rzadkiej na niżu rośliny górsko-podgórskiej żebrowca górskiego (*Pleurospermum austriacum*). Oba te gatunki są poważnie zagrożone w wyniku postępującej degradacji środowiska przyrodniczego doliny, powoli ewoluującego od lat w stronę tego "zapomnianego i gorszego" Gdańska. W sierpniu ubiegłego roku przesłałem do "Tygodnika Trójmiasto" artykuł o zaistniałych kolejnych szkodach w wymienionym miejscu. Po jego publikacji w numerze 40. zapadła głucha cisza, nikt z lokalnych decydentów nie zareagował, nikt nie postarał się choć zminimalizować następstwa niefortunnej prywatyzacji. O szczegółach można dowiedzieć się z poniższego artykułu, który został przedrukowany ze wspomnianego tygodnika.

Obchody milenijne są już historią. Pomimo sprzyjającej atmosfery oraz nadarzającej się okazji (następna za 1000 lat) wiele problemów nie zostało dotąd rozwiązanych, również i ten z Doliną Radości. **Ochrona przyrody ojczystej jest swoistym papierkiem lakmusowym wiarygodności przemian zachodzących w kraju.** Apeluję dlatego do osób odpowiedzialnych za stan naszego środowiska przyrodniczego o poważne potraktowanie opisanego faktu. Zaś Państwa, stałych Czytelników przyrodniczej rubryki PISMA PG, zapraszam do przestudiowania niniejszego artykułu.

\*\*\*

## SMUTNO O DOLINIE RADOŚCI - AKT II



*Dolina Radości przed prywatyzacją - staw na terenie Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie*

*Poproście Matkę Bożą, abyśmy po śmierci  
w każdą wolną sobotę chodzili po lesie...  
ks. Jan Twardowski "Drzewa"*

Tytuł niniejszego opracowania zapożyczyłem z artykułu prof. Jerzego Stankiewicza, naukowca związanego z Wydzia-



*Okresowo osuszony staw*

łem Architektury Politechniki Gdańskiej. Ukazał się on w "Głosie Wybrzeża" 13 listopada 1974 r. Już z samego tytułu można zorientować się, że chodziło o zagrożenie tej najpiękniejszej wówczas jeszcze doliny, mocno wcinającej się w strefę krawędziową Wysoczyzny Gdańskiej w rejonie Gdańska-Oliwy. Właśnie ten obiekt, pozostałość po ostatnim zlodowaczeniu, bałtyckim, od dawna był i obecnie nadal jest częstym miejscem



rekreacji mieszkańców Gdańska. Niestety, w połowie lat 70. lokalne władze postanowiły "uszcześliwić" społeczność Trójmiasta, lokalizując tu działki pracownicze. W obronie środowiska przyrodniczego i kulturowego wystąpił wspomniany, nieżyjący niestety, profesor, który apelował o zaniechanie realizacji tego złego pomysłu. Według niego, właściwe zagospodarowanie Doliny Radości powinno być rozpatrywane w skali całej gdańskiej aglomeracji, przy zastosowaniu naukowej metody analizowania wartości i rewaloryzacji krajobrazu. Na bazie właśnie tej metody, w Instytucie Architektury i Urbanistyki Politechniki Gdańskiej powstały pionierskie prace dotyczące Doliny Radości. Jednak nie pomógł ani wspomniany artykuł, ani apele ekologów, jak również negatywna opinia ze strony ówczesnego wojewódzkiego konserwatora przyrody, dr. Alfonsa Sikory. Urząd Miejski w Gdańsku był głuchy i ślepy - wbrew prawu oraz interesowi społecznemu zezwolił na powstanie ogródków.

Niestety - przewidywania specjalistów (architektów, ekologów) sprawdziły się po latach: wadliwe zagospodarowanie "zniszczyło" krajobraz doliny, zaś Potok Oliwski, płynący jej dnem, jest permanentnie zanieczyszczany nawozami, środkami ochrony roślin, bakteriami kałowymi (*Escherichia coli*). Powstanie prawie 2-kilometrowego ogrodzenia, sięgającego połowy szerokości lasu, zakłóciło naturalną migrację zwierząt i spowodowało nadmierne jej zagęszczenie w zachodniej części doliny; zostało to wykorzystane przez myśliwych, którzy pobudowali w tym miejscu, na przestrzeni lat, szereg czatowni. Wzmocniony ruch samochodowy na ul. Bytowskiej - w wyniku powstania działek - utrudnił swobodny spacer turystom pieszym, a pod kołami pojazdów zginęło wiele chronionych zwierząt: jeży, ropuch, padalców itp. Wyjątkowo piękny krajobraz łąk w głębi Doliny Radości został oszpecony przez powstanie betonowych dróg dojazdowych oraz nowych obiektów na ujęciu wody; obiekty wybudowane poprzednio mniej raziły, gdyż były pod względem formy poprawnie wkomponowane w okoliczny krajobraz. Walory przyrodnicze fragmentu doliny, ocalałego od ekspansji miasta, sprawiły, że w planach jest utworzenie tu rezerwatu przyrody typu florystycznego. Ma on obejmować siedliska wielu unikatowych, często ściśle chronionych roślin, m.in. pełnika europejskiego (*Trollius europaeus*), wielosiłu błękitnego (*Polemonium coeruleum*), nasiężrzała pospolitego (*Ophioglossum vulgatum*), storczyków z rodzaju *Dactylorhiza* i innych.

\*

Akt drugi dewastacji Doliny Radości rozegrał się niedawno. Otóż posiadłość należąca do Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie - ul. Bytowska nr 5 - została przekazana w ręce prywatne. Nowy właściciel, obywatel B., ochocko zabrał się do prac renowacyjnych. W 1996 r. leśna droga, należąca do oddziału 103 Leśnictwa Renuszewo, bez wiedzy i akceptacji właściciela - Nadleśnictwa Gdańsk, znalazła się na obszarze prywatnej posiadłości. W roku bieżącym droga ta została poszerzona przez podcięcie zbocza doliny, co przyczyniło się do powstania szeregu osuwisk. W wyniku powyższej operacji ucierpiały także drzewa, którym brutalnie podcięto korzenie. Od lat służąca turystom aleja, wysadzana jednostronnie pięknymi, starymi lipami, została zabarykadowana. Dotychczas wiódł tędy czarny szlak turystyczny - "Wzgórze Szymbarskich" - i jakoś to nie przeszkadzało poprzedniemu właścicielowi. Wspomniana aleja stanowi jedyny dojazd do oddziału 103 i jest **jedyną drogą pożarową** !!! (Ta ważna droga nie znalazła się na planie geodezyjnym). Osuszono także stawy, m.in. niewielki zbiornik zlokalizowany na granicy z wymienionym oddziałem 103.

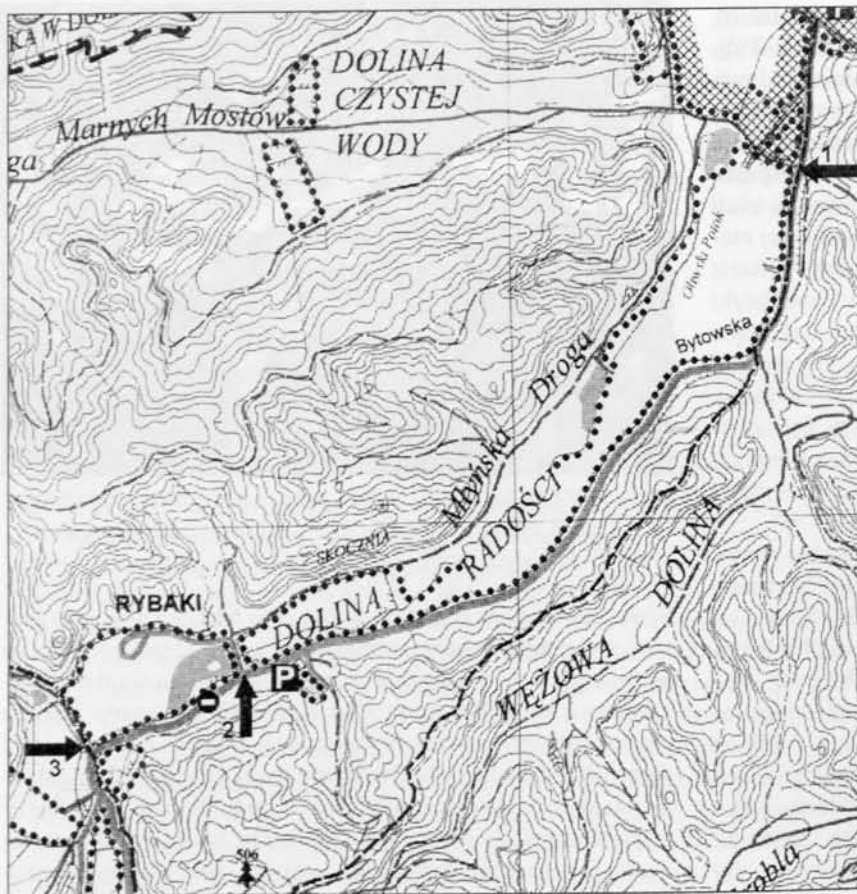


Zagrodzony czarny szlak turystyczny "Wzgórze Szymbarskich". Widoczna na zdjęciu tabliczka głosi: "Teren prywatny. Wstęp wzbroniony".

Spowodowało to zakłócenie w rozwoju lokalnej populacji płazów, zwłaszcza ropuchy szarej (*Bufo bufo*). Od lat wiadomo, że płazy odgrywają ważną rolę w utrzymaniu równowagi ekologicznej w środowisku przyrodniczym i ich niszczenie jest, po prostu, barbarzyństwem. Wspomniana ropucha szara znalazła się na liście gatunków ściśle chronionych. Oznacza to, że zabrania się niszczyć także jej siedliska rozrodu. W trakcie trzebieży wycięto zarośla z chronioną (!?) kaliną koralową (*Viburnum opulus*), zagrożone zostało stanowisko unikatowego na nizu żebrowca górskiego (*Pleurospermum austriacum*). Warto w tym miejscu wspomnieć, że opisana dewastacja odbywa się na obszarze **Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego**. Okazuje się, że Zarząd Miasta Gdańska sprzedając posiadłość nowemu właścicielowi uczynił to wbrew prawu. Bowiem transakcja nie otrzymała akceptacji ze strony Zarządu Parków Krajobrazowych w Gdańsku, działającego w imieniu wojewódzkiego konserwatora przyrody. Czy nie przypomina to historii z lat 70.? Bez głębszego zastanowienia sprzedano także rozwidlenie ul. Bytowskiej, prowadzące do dawnej siedziby Nadleśnictwa Oliwa. Obecny właściciel grozi jego zamknięciem (postawienie bramy), co wykluczy możliwość komunikacji innym mieszkańcom okolicznych posesji. Prace na obszarze nowo nabytej posiadłości doprowadziły do zamulenia zbiorników, w których przechowywane są żywe ryby. Na pretensje właściciela przechowalni, obywatel B. zagroził poprowadzeniem wody tak, że ominie ona sąsiadującą posesję z przechowalnią ryb. Zamknięcie wspomnianej drogi dojazdowej do dawnego nadleśnictwa i



Rozlewisko na terenie posesji, jedno z miejsc rozrodu płazów



Legenda dla mapki: • • • plot,

1. przejście udostępnione; 2. przejście zamknięte (prywatna droga)
3. zabarykadowany szlak czarny - "Wzgórz Szymbarskich"

przechowalni ryb unicestwi także ścieżkę przyrodniczo-dydaktyczną, która wiedzie Młyńską Drogą i przez ową drogę (rozwidlenie) łączy się z ul. Bytowską\*. Trasa została poprowadzona specjalnie drogą leśną, a nie ul. Bytowską, aby do maksimum wyeliminować zagrożenie ze strony ruchu drogowego dla młodych uczestników edukacji. Należy tu wspomnieć, że społeczna postawa obecnego właściciela posesji mieści się w określeniu NIMBA (not in my backyard - tylko nie na moim podwórku). To niepokojące zjawisko często towarzyszy prywatyzacji w naszym kraju. Nowi właściciele (osoby prywatne, gminy, lokalne społeczności) nie godzą się na korzystanie z ich dóbr przez ogół społeczeństwa, nawet w sposób symboliczny. Niektórzy psychologowie i socjologowie upatrują w tym zjawisku symptomy swoistej choroby cywilizacyjnej, często towarzyszącej polskiemu biznesowi. W tym miejscu nasuwa mi się analogia do sprawy niefortunnej sprzedaży przez Zarząd Miasta Gdańska hali targowej, co doprowadziło do skłócenia handlowców z nowym właścicielem. Czyżby występowało tu prawo serii?

Konkludując - przekazanie dawnego terenu Instytutu Rybactwa Śródlądowego odbyło się wbrew prawu\*\*, bez nadzoru konserwatora przyrody, o czym świadczą liczne szkody poczynione w środowisku przyrodniczym. Można było dokonać trafniejszego wyboru nowego użytkownika, zwłaszcza że w wyniku transakcji do miejskiej kasy wpłynęła wręcz symbo-

liczna suma pieniędzy. Sądzę, że właśnie ten teren powinien zostać przeznaczony na cele edukacji przyrodniczej społeczeństwa, zwłaszcza młodego pokolenia. Mogłaby tu powstać np. Zielona Szkoła. Wspaniałe położenie w środowisku przyrodniczym, na które składają się: trawiaste dno doliny, zalesione zbocza, urokliwy staw i Potok Oliwski z idealnie czystą wodą - ułatwiłyby i umiliłyby naukę. Nastroj w takiej szkole jest wyjątkowy i niemożliwy do stworzenia w żadnym innym obiekcie, nawet luksusowo wyposażonym, m.in. w nowoczesne środki audiowizualne. Tworzenie obiektów, jak przykładowo Zielone Szkoły, jest nieodzowne w celu likwidacji wtórnego "analfabetyzmu przyrodniczego" społeczeństwa. "Produktem ubocznym", ale równie ważnym, edukacji przyrodniczej jest wytworzenie wśród młodzieży umiejętności współżycia w grupie, czyli rodzaj integracji społecznej; może będzie to panaceum na owe zjawisko prywaty, znane jako NIMBA?

Zmiany w środowisku naturalnym i kulturowym Doliny Radości, dokonane w latach 70., i ich niekorzystne następstwa, jak widać, nie nauczyły nas niczego. Dlatego twierdzę, że stare porzekadło o Polaku mądrym po szkodzie należałoby zmodernizować: "Polakowi nawet po szkodzie rozumu nie przybędzie". I jeszcze jedna refleksja. W czasach coraz powszechniejszego udziału religii w życiu codziennym warto na nowo odczytać przykazanie: "Nie zabijaj".

Dotyczy ono, według mnie, nie tylko istoty ludzkiej, ale każdej formy życia: podmiejskiej łąki, szpaleru drzew, pojedynczego owada, grzyba. Dlatego z większym szacunkiem traktujmy naturę - jest ona naprawdę niepowtarzalna i warta ocalenia. I nie "zabijajmy" Doliny Radości!

W sierpniu 1997

Marcin S. Wilga  
Wydział Mechaniczny

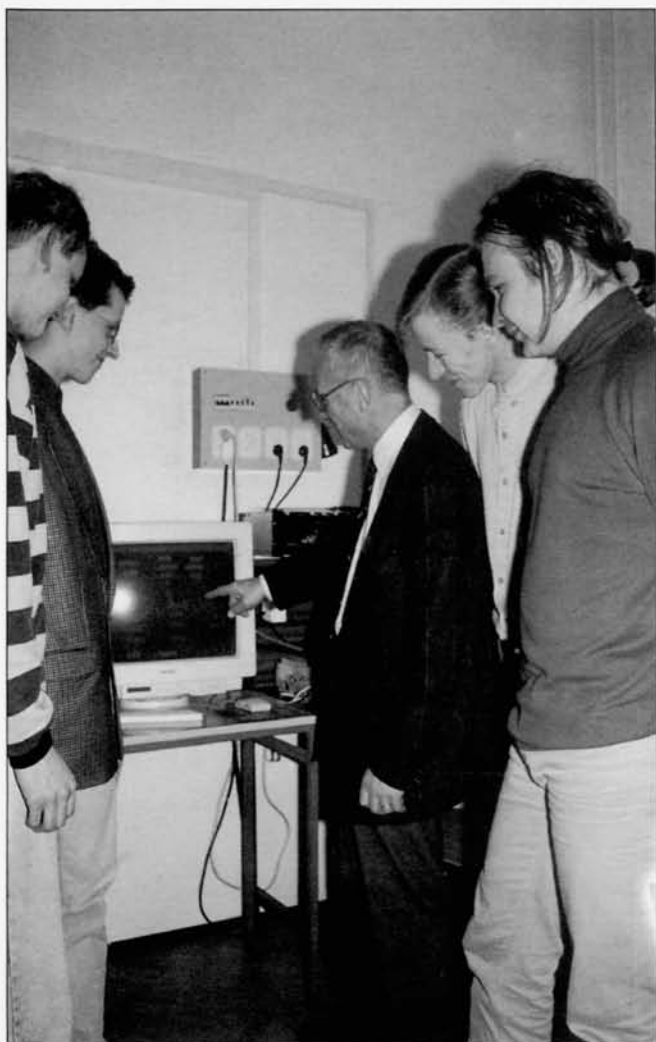


Soplówka gałęzista (*Hericium clathroides*)  
na zamierającym buku

\* W przygotowaniu znajduje się przewodnik pod moją redakcją pt. *Ścieżki przyrodniczo-dydaktyczne w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym cz. II, Dolina Radości*. W wyniku prywatyzacji fragmentu doliny Bytowska 5, zostały wstrzymane prace w terenie oraz opóźnia się termin wydania tej pozycji.

\*\* Artykuł 24 ustawy z dnia 16 października 1991 r. o ochronie przyrody, w związku z § 3 Rozporządzenia Nr 5 Wojewody Gdańskiego z dnia 8 listopada 1994 r. w sprawie wyznaczania obszarów chronionego krajobrazu, określenia granic parków krajobrazowych i utworzenia wokół nich otulin oraz wprowadzenia obowiązujących w nich zakazów i ograniczeń.

Dar firmy Philips Industrial Electronics Deutschland  
dla  
Katedry Miernictwa Elektrycznego Wydziału Elektrotechniki i Automatyki



Doc. L. Referowski demonstruje studentom działanie systemu PMSX



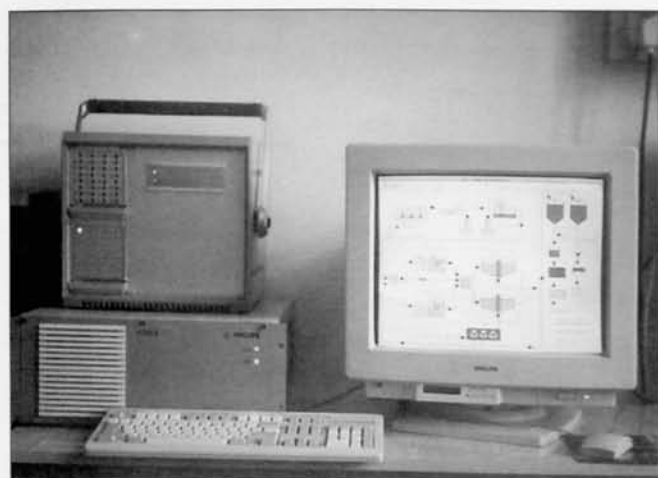
Rektor prof. A. Kołodziejczyk wręcza Medal Pamiątkowy PG dyrektorowi firmy Philips Ch. V. Sujanowi



Uroczystość przekazania systemu PMSX dla Wydziału Elektrotechniki i Automatyki



W trakcie zajęć w Laboratorium Systemów Pomiarowych Katedry Miernictwa Elektrycznego



System PMSX z uruchomionym jednym z programów - nadzorowanie pracy oczyszczalni ścieków

*(Fot. T. Chmielowiec i D. Świstulski)*

## 40 LAT PARLAMENTARYZMU



Prof. Czesław Druet - pierwszy marszałek Uczelnianego Parlamentu oraz prof. Janusz Rachoń - przewodniczący Koła Parlamentarzystów Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej, były marszałek Uczelnianego Parlamentu



Fot. T. Chmielowiec

Rektor nagradza ustępujących i obecnych parlamentarzystów